

magazyn

Gazeta
Współczesna

DZIENNIK POLSKIEJ ZJEDNOCZONEJ PARTII ROBOTNICZEJ

Nr 259 (8943) Białystok — Łomża — Suwałki, 16—17—18 listopada 1979 r. Nakład: 210.994 Cena 1 zł

Zakończenie
wizyty Arafata
w ZSRR

MOSKWA — W środę opublikowano w Moskwie wspólny komunikat o zakończeniu w ZSRR wizyty przyjaźni delegacji OWP z przewodniczącym tej organizacji Jaserem Arafatem na czele.

Komunikat stwierdza m. in., że strony katgorycznie potępiły porozumienie z Camp David i separatystyczny układ egipsko-izraelski, zawarty przy aktywnym udziale USA, jako spisek antypalestyński. Strony zapowiedziały wzmożenie wysiłków zmierzających do osiągnięcia sprawiedliwego i trwałego pokoju na Bliskim Wschodzie.

Strajk powszechny
na zachodnim
brzegu Jordanu

PARYŻ — Agencja AFP informuje, że w czwartek rano ogłoszony został strajk w całym Izraelu na zachodnim brzegu Jordanu strajk powszechny na znak protestu przeciwko zamierzonemu przez okupantów deportacji burmistrza Nablusu, wamtu burmistrza Szakaa, zamknięciu sklepów, urzędów i szkół.

E. Honcker
zakończył wizytę
w Etiopii

ADDIS ABEBA — Delegacja partyjno - państwowa NRD z Erichem Honckerem na czele zakończyła czterodniową oficjalną wizytę przyjaźni w Etiopii. W czwartek delegacja opuściła Addis Ababę i tego samego dnia wyładowała w Adenie. Jęmen Południowy jest kolejnym etapem podróży delegacji NRD.

Spółdzielnia Kótek Rolniczych w Michatowie (woj. białostockie) oprócz świadczenia usług na rzecz rolnictwa zajmuje się również produkcją rolą. Do wzorowych placówek spółdzielni należy zakład Topolany, który prowadzi hodowlę owiec.

Obecnie stado w Topolanych liczy blisko 3 tys. sztuk rasy nizinną - długopowietnistą. Do skarmiania zwierząt wykorzystuje się tu pasze z własnych upraw. NA ZDJĘCIU: lekarz wet. Andrzej Lebkowski z opiekunem stada Tadeuszem Bogdanowiczem przy szczepieniu owiec.

CAF — Siehko

Edward Gierek zwiedził
wystawę polskiego
przemysłu lotniczego

WARSZAWA (PAP) — Osiągnięcia polskiego przemysłu lotniczego w latach siedemdziesiątych, nieustanny rozwój współpracy z przodującym w tej dziedzinie techniki i produkcji przemysłem lotniczym ZSRR pokazuje otwarta 15 bm. na terenie portu lotniczego Warszawa — Okęcie wystawa pn: "UDZIAŁ PRZEMYSŁU LOTNICZEGO W REALIZACJI UCHWAŁ VI i VII ZJAZDÓW PARTII".

Na uroczystość otwarcia wystawy i pokazy nowoczesnego sprzętu lotniczego w powietrzu przybyli: I sekretarz KC PZPR — Edward Gierek oraz przewodniczący Rady Państwa — Henryk Jabłoński i prezes Rady Ministrów — Piotr Jastrzębski, jak również inni członkowie Biura Politycznego i Sekretariatu KC PZPR.

Przybyła delegacja przemysłu lotniczego ZSRR z ministrem Wasilijem Kazakowem.

Obecny był ambasador ZSRR — Boris Aristow.

Dostojnych gości powitał minister Przemysłu Maszynowego Aleksander Kopeć, który podkreślił następnie pomoc, jaką w rozwoju polskiego przemysłu lotniczego udzielił nam Kraj Rad. W latach 70-tych przemysł ten stał się naszym przemysłem narodowym, drugim co do wielkości eksporterem w całym przemyśle elektromaszynowym, dostarczającym gospodarce blisko 1,9 mld zł dew. rocznie. Nowe możliwości otworzył przed nim udział w budowie radzieckiego aerobusów „IL-86”. Podjęcie

produkcji zespołów tego samolotu oznacza udział Polski w produkcji najnowszej generacji samolotów.

Następnie goście zwiedzili wystawę.

Przedstawione na niej plany, szkice, modele i 50-letniej tradycji polskiego przemysłu lotniczego, o jego obecnej roli i przyszłości w świecie produkcji samolotów rolniczych i szybowców, czwartego wytwórcy śmigłowców, 90 proc. sprzętu lotniczego, przynależącego do eksportu; wykonany w Polsce sprzęt pracuje w ponad 50 krajach wszystkich kontynentów. Z Polski pochodzi co szósty samolot na świecie wykonujący prace dla rolnictwa.

Największym odbiorcą naszego sprzętu lotniczego jest Związek Radziecki, którego duże zamówienia zapewniają nam opłacalność produkcji.

Ciąg dalszy na str. 2

Konferencja Sprawozdawczo-Wyborcza PZPR w Zambrowie

Wzrost racjonalności
i efektywności gospodarowania

Z udziałem I sekretarza KW PZPR w Łomży — WALDEMARA SZPALIŃSKIEGO obradowała 15 bm. w Zambrowie III Miejsko-Gminna Konferencja Sprawozdawczo - Wyborcza PZPR, która dokonała oceny rozwoju społeczno-gospodarczego miasta i gminy oraz partii liczącej ponad 2300 członków i kandydatów organizacji partyjnej. Konferencja uchwaliła program działania na lata 1980—81, wybrała nowe władze miejsko-gminne oraz delegatów na Konferencję Wojewódzką PZPR.

Zarówno w sprawozdaniu wygłoszonym przez I sekretarza KMG — Tadeusza Potera jak i podczas dyskusji wiele miejsca poświęcono sprawom społeczno-gospodarczym. Podkreślając osiągnięcia tuższego przemysłu i rolnictwa, w tym dalszą modernizację zakładów przemysłowych, rozwój sieci usługowej, wzrost poziomu i zakresu u-

skług rolniczych, znaczne zwiększenie liczby gospodarstw specjalistycznych, wskazywano na szereg trudności w realizacji społeczno-gospodarczych zadań. Zabierający głosy mówcy analizowali możliwości zahamowania spadku i odbudowy pogłowia zwierząt, nadrobienia zaległości produkcyjnych powstałych w I kwartale br., a

następnie pogłębionych zakłóceń w dostawie energii elektrycznej.

Wiele głosów dotyczyło problemów partyjnego wpływu na realizację zadań gospodarczych. Rozwój i umacnianie partii, zwiększenie jej autorytetu zależy w znacznym stopniu od postaw wszystkich członków partii, ich osobistej przykłądu i zaangażowania w wypełnianiu obowiązków zawodowych i społecznych.

I sekretarz KW PZPR Waldemar Szpaliński podkreślił znaczenie potencjału społecznego i gospodarczego Zambrowa.

Ciąg dalszy na str. 2



Rośnie jeszcze jeden z wielu bloków — typowy obrazek Polski lat siedemdziesiątych.

Posiedzenie
Rady
Państwa

WARSZAWA (PAP) — 15 bm. odbyło się w Belwedrze posiedzenie Rady Państwa.

Rada Państwa dokonała oceny efektywności działalności koordynacyjnej rad narodowych i terenowych organów administracji państwowej w stosunku do jednostek im nie podporządkowanych. Podstawą tej oceny były rozpatrzone wstępnie przez komisję spraw rad narodowych materiały przedłożone przez Kancelarię Rady Państwa i Ministerstwo Administracji, Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska oraz informacje prezydentów w WRN w Gdańsku i Siedlcach.

Rada Państwa stwierdziła, że wykorzystanie przez rady narodowe i ich organa koordynacji terenowa stanowi ważny element w mechanizmie planowania i zarządzania gospodarką narodową. Analiza doświadczeń wskazuje, że rady narodowe i terenowe organa administracji państwowej, poprzez wykorzystywanie ich uprawnień koordynacyjnych i środków oddziaływania na jednostki nie podporządkowane, lepiej realizują ustawowe zadania związane z kompleksowym rozwojem swego środowiska, skuteczniej wpływają na zagospodarowanie rezerw, przyczyniają się do przełamowania barier oraz eliminowania przejawów niegospodarności i innych negatywnych zjawisk.

Na podkreślenie zasługuje wpływ prezydentów rad na przebieg i efektywność procesów koordynacyjnych, a także wkład komisji rad, które poprzez kontrole jednostek nie podporządkowanych oraz dzięki więzi z organizacjami społecznymi i organami samorządów, przyczyniają się do skuteczniejszego

Ciąg dalszy na str. 2



Bez kupowanej za granicą ropy naftowej stanie transport, bez rudy żelaza nie będziemy mieli stali, bez apatyfów — nawozów sztucznych, bez bawełny i wełny — tkanin. To wszystko oczywiście prawdziwe, ale niecałe.

ko takiego, ale nieumiejętnego handlowania. W gospodarczych związkach ze światem tkwi zawsze, nieraz i duże, ryzyko, ale zarazem zawsze jest wiele do wygrania.

Jak z tej szansy korzystamy? Ile od świata bierzemy i ile oddajemy w zamian. Czy handel ze światem nas zubaża czy wzbogaca?

Na światowym rynku jesteśmy reprezentowani skromnie, zbyt skromnie. Nasz udział w światowym handlu wynosi 1,1 proc., natomiast w produkcji przemysłowej — 2,2 proc. Co gorsze proporcje te nie zmieniają się od wielu lat. Już z tego porównania wynika, jak duże mamy możliwości i zarazem zaległości do odrobienia.

W mijającej dekadzie zwiększył się eksport bardzo poważnie lecz w jeszcze większym stopniu import i... pozostał

ni na jednego mieszkańca zwiększył się mniej więcej w tej samej proporcji — 3—4-krotnie. I po drugie — nasi sąsiedzi powiększyli znacznie swą przewagę, ponieważ Polska startowała z niższego palupa. O ile przed osiem laty np. statystyczny Węgier eksportował za 116 dolarów więcej niż Polak, to w roku ubiegłym swą przewagę powiększył już do 506 dolarów.

Ci z czytelników, którzy odwiedzali sklepy węgierskie, czeskie czy estońskie mają jak mniemam dość jasny pogląd w sprawie, czy istnieje związek między wielkością eksportu a zaopatrzeniem rynku, czy handel wzbogaca czy zubaża.

Polubić
eksport

W takiej wizji związków ze światem handel zagraniczny jawi się jako zajęcie uprawiane pod przymusem, uciążliwe i przynoszące wiele utrapień. A bo to ropa drożeje, a to wełnę trudno kupić, a to znów gdzieś podwyższyli cła, a to z dewizami skąpo. Niestety, to archaiczne myślenie pokutuje nadal w społecznej świadomości i to bynajmniej nie tylko wśród szeregowych członków naszego społeczeństwa.

Spójrzmy więc z innej strony. Handel wzbogaca i wzbogaca państwa i narody, czyni je najmniejszymi. Jeżeli nie zawsze tak się dzieje, to nie jest to wina handlu ja-

my w tyle. Nie chcę porównywać Polski ze światową czołówką, z Belgią czy Szwecją, ale również nie chcę porównań ze średnią światową, gdyż żadna to satysfakcja podkreślać przewagę nad Kolumbią czy nawet Indiami. Setka państw ubogich istotnie bowiem wpływa na wielkość owej średniej.

Dokonałmy porównań z naszymi sąsiadami. Niech mi czytelnik daruje nadmiar liczb, ale w tym przypadku, są one niezbędne.

W Polsce w roku 1970 wartość eksportu w przeliczeniu na jednego mieszkańca wynosiła 109 dolarów, a w 1978 — 403 dolary. W tych samych latach w Czechosłowacji — 265 i 704 dolary, w NRD — 268 i 790 dolarów, a Węzech — 224 i 903 dolary.

Co z tych porównań wynika? Po pierwsze, że we wszystkich wymienionych krajach eksport w przelicze-

porównanie: my w siedemdziesiątym, i my teraz zapewne wielu krzeli, ale może i usypiać. Porównanie: my i sąsiedzi sprowadza problem do rzeczywistych proporcji, rodzi niepokój i z tej racji może budzić wolę działania.

W moim przekonaniu zrozumienie powagi wyzwania przed jakim stoi nasza gospodarka jest pierwszym z najpierwszych warunków sprostania sytuacji. Aby odpowiedzieć na pytanie, co robić, trzeba bowiem najpierw wiedzieć jak jest rzeczywistość.

Zwiększenie eksportu jest więc koniecznością niezbędną po to, by gospodarka mogła normalnie pracować. Le-

Ciąg dalszy na str. 3

Dar
do pracy

Wojewódzcy szefowie powiadają — gdybyśmy mieli wszędzie takich dyrektorów jak w Giżycku, to nic innego, jak tylko nogi na parapet, gębę do słońca i siłę opoka. A robota? Sztabu doskonałe!

Jade więc do giżyckiej Spółdzielni Kótek Rolniczych i jej dyrektora Waldemara Berdygi i owszem — mówię słów kilka o tym, co się tu udało zrobić i szybciej, odsyła dalej. Do Soidan, a ściślej — do Wacława Darskiego, kierownika tamtejszej wytwórni

wapna nawozowego. Bo, jeśli cokolwiek u nas dobrego się dzieje, tłumaczy, to dzięki takim ludziom jak Darski. Uzasadnienie jest krótkie — bo choć na emeryturze, ma inicjatywę za trzech dwudziestolatków, bo żeby nie on, nie byłoby Soidan, bo wreszcie przed nim były tużyny kierowników, a on jest od 15 lat i oby jeszcze tyle pozostał.

Przykład? Bardzo proste. Zabrakło nam zgrzewarek. Szukaliśmy tego po całej Polsce. I — oczywiście — nie znaleźliśmy. Wtedy Darski powiedział — dajcie mi delegację do Warszawy. Pojechał

i wrócił z całym zapasem. Znalazł w składnicy harcerskiej. Ale znalazł! On po prostu kocha swoją pracę.

Trafili w te strony Darski nietypowo. Po wrześniowych bitwach młody plutonowiec znalazł się w obozie jenieckim. Traf chciał, że zetknął się tam z już legendarnym majorem Sucharskim. Później — ponieważ był młynarzem z zawodu — miał ziarno w mąjatkę jednego z ówczesnych „panów świata”. Robił to dość długo, bo ucieczka się nie powiodła. Jako młynarz

pamiętają go do dziś mieszkańcy okolic Bakalarzewa, którzy w tym właśnie młynie mieli swoje zboże. Wśród nich była wdowa, która przyszła do młyna ze swoją porcją. Prosiła go, by zmieł więcej niż nakazuje przydział. Właśnie rozstrzelano jej następną bliską osobę. Mąka ootrębna była na stypę. Przestępstwo przeciw Rzeszy wyszło na jaw. Obroniła go żona właściciela młyna.

Wśród jeńców było piętnastu Rosjan. Od nich do-

Ciąg dalszy na str. 3

z trzech województw

SPOTKANIE Z BIAŁOSTOCKIMI STUDENTAMI
W KW PZPR

15 bm. I sekretarz KW PZPR w Białymstoku — Władysław Juskiewicz spotkał się ze studentami białostockich uczelni. Spotkanie, w którym obok przyszłych lekarzy, inżynierów aktorów i naukowców uczestniczyli również sekretarz KW PZPR w Białymstoku — Halina Piotrowska-Olczak, kierownik wydziału Nauki i Oświaty KW PZPR — Stanisław Sękowski oraz przewodniczący ZW SZSP — Andrzej Tanański odbyło się pod znakiem rzeczowych rozmów na tematy i sprawy żywo interesujące białostockich studentów. Mówiono o studenckiej kulturze, nauce, o sprawach socjalno-bytowych, o tym wszystkim z czego i czym żyje student. Głos zabrali

Ciąg dalszy na str. 2

Polubić eksport

Ciąg dalszy ze str. 1

W tym interesie rynku, a więc i indywidualnych konsumentów, o czym świadczy m.in. przykłady naszych sąsiadów. Jednym słowem stanowi rację stanu polskiej gospodarki.

Tymczasem eksport nie cieszy się powszechną sympatią, wcale nieodosobniono się opinii, że zubaża rynek, otacza go w niektórych środowiskach atmosfera dwuznaczności — może i trzeba eksportować, ale czy to naprawdę się opłaca. Nie bagatelizowałbym tych opinii, nie lekceważyłbym nieufności.

Myszę, że zbyt małą wagę przywiązujemy do pozyskania autentycznej recepty społecznej dla trudnych warunków. A takim jest bez wątpienia konieczność rozszerzenia naszej obecności na światowym rynku. Przechodząc nieraz obok faktów, które służą nam do przemyślenia, że mało chyba politycy, by unaczynić, że eksport wzbogaca nie tylko całą gospodarkę, przemysł, ale także i rynek.

Jedyna droga do polubienia eksportu wiedzie przez szersze zaznaczenie obecności importu. I w końcu taki jest przecież sens wymiany handlowej. W latach siedemdziesiątych dzięki właśnie importowi wzbogaciły się nasze sklepy i my również. Na licencji „Fiat” uruchomiliśmy produkcję „maluchów”, na licencji „Grundiga” i „Thomsona” — magnetofony, Singera — maszyny do szycia, Berlietta — autobusy. Kupowaliśmy wyposażenia fabryk, które teraz produkują meble i rozetki, tkaniny i tapety. Tym bardziej więc rzucają się w oczy i razią sprawy drobniejsze. Bo czy naprawdę nie stać nas na zapewnienie ciągłej sprzedaży cytryn? Czy brakiem dewiz mamy tłumaczyć niedostatek lekarstw? Czy w końcu wybór herbat powinien ograniczać się do 2-3 gatunków? Albo inna kwestia. Rozumieć konwencje, jakie płyną dla polityki cen z faktu ciążenia na rynku znaczących ilości złotych, które nie mają równoważnika w towarach.

Rozumiem, że ceny na nowe towary muszą być cenami równowagi, czyli, że powinny dopasowywać popyt do podaży. Ale ten kij ma dwa końce. Ustalanie wysokich cen na towary importowane trwałego użytku czyni je niedostępnymi przeciętnemu nabywcy, bezpośredniemu wytwórcy towarów, za których sprzedaż zakupiono tamte.

Czy rzeczywiście jest to polityka rozumna uwzględniająca wszystkie swoje konsekwencje? Czy dobrane zyski nie są jednak znacznie mniejsze od strat głębszych, poważniejszych, pojawiających się na tym, że z owoców eksportu nie wszystkie grupy korzystają w miarę zrównoważony? Dlaczego tak wiele uwagi poświęcamy polubieniu eksportu? Połatem lata osiemdziesiąte będą wymagały bez przesady ogólnego wzrostu w tej dziedzinie gospodarowania.

Wcale nieodosobnione wśród ekonomistów są zdania, że w przyszłej pięcioletniej najtrudniejszym ośrodkiem do zgrzytania nie będzie energetyka, i nawet nie transport, ale właśnie handel zagraniczny. Znaczący wzrost eksportu warunkuje bowiem spłatę zaciągniętych kredytów i rozmiary niezbędnego importu.

Zjednanie społeczeństwa dla wysiłku na rzecz eksportu, wyrażenie, że wysiłek ten jest nie tylko konieczny, ale i korzystny, jest równie ważne, o ile nie ważniejsze niż działania natury ekonomicznej, organizacyjnej czy technicznej.

Nas handel zagraniczny znajduje się nieustannie pod presją bieżących potrzeb. Nie sprzyja to zdobywaniu szerokiego oddechu, wypracowaniu długofalowych koncepcji naszego udziału w międzynarodowym obrocie pracy. I w tym chyba tkwi główna przyczyna wieloletniego rozważania o tym, w czym się mamy specjalizować.

Posłuszny, jak się wydaje, zbyt sz-

rokim frontem. Uruchomiliśmy produkcję wielu nowych wyrobów, nie rezygnując chyba z niczego. Na pierwszy rzut oka wydawałoby się, że tędy droga. Bardziej wnikliwe wejście w problem skłania jednak do sceptycyzmu. Bo co się okazało? Ze opłacalna jest sprzedaż i statków, i samochodów ciężarowych, i samochodów osobowych, i kombajnów, i maszyn budowlanych, i maszyn drogowych, i urządzeń górniczych etc. Można powiedzieć, że od przybytku głowa nie boli. W tym jednak przypadku właśnie boli. Bo jeśli przyjdzie do podziału szczytów przecięt środków materiałowych, surowcowych, inwestycyjnych to okazało się, że nie można wszystkich obdzielić wedle potrzeb.

Skutki tej sytuacji są takie, że tylko niewiele branż eksportowych czerpie wszystkie korzyści z produkcji w wielkich seriach.

W wielkoseryjnej produkcji tkwi bowiem sedno sprawy. Wówczas możliwa jest obniżka kosztów polegająca na tym, że stuśiesięcny egzemplarz jest tańszy od pięćdziesięciolusowego, a dwustutysięczny o stuśiesięcny. Pozwala to prowadzić z rozmachem i wydawać duże sumy na badania naukowe. I wówczas także producent ma liczący się wpływ na uzyskiwane ceny, ponieważ jego udział na rynku jest na tyle duży, by zdobyć wpływ na ich poziom.

Wybór specjalizacji polega więc przede wszystkim na rezygnowaniu. W jakich dziedzinach Polska powinna się specjalizować? Jest to pytanie nadal w znacznej mierze otwarte. W znacznej mierze, ponieważ w produkcji wielu wyrobów mamy już tradycje i spore osiągnięcia. Przypomnijmy statki, maszyny budowlane, cukrownie, fabryki kwasu siarkowego, maszyny górnicze.

O tym co ponadto, powinien decydować rachunek kosztów, liczący wyczerpująco, a więc uwzględniający także i przyszłe koszty, które trzeba będzie ponieść, m.in. na ochronę środowiska. Poza tym

możliwości zaopatrzeniowe. Na całym świecie w przyszłości, jeszcze bardziej niż obecnie, o przemysłowym rozwoju decydować będzie dostęp do surowców i energii.

Polska pod tym względem należy do państw zasobniejszych. Mamy więc w swoich rękach niemało atutów, tylko jak nimi grać?

Chciałbym w tym miejscu zwrócić uwagę na pewien paradoks uwidaczniający się w naszym regionie, z którego jak sądzę, wypływa morał ogólniejszej natury.

Jesteśmy poważnym eksporterem wyrobów włókienniczych, wytworzonych z importowanych surowców, a zarabiamy tak mało zarabiamy na ziemniakach, których mamy w bród.

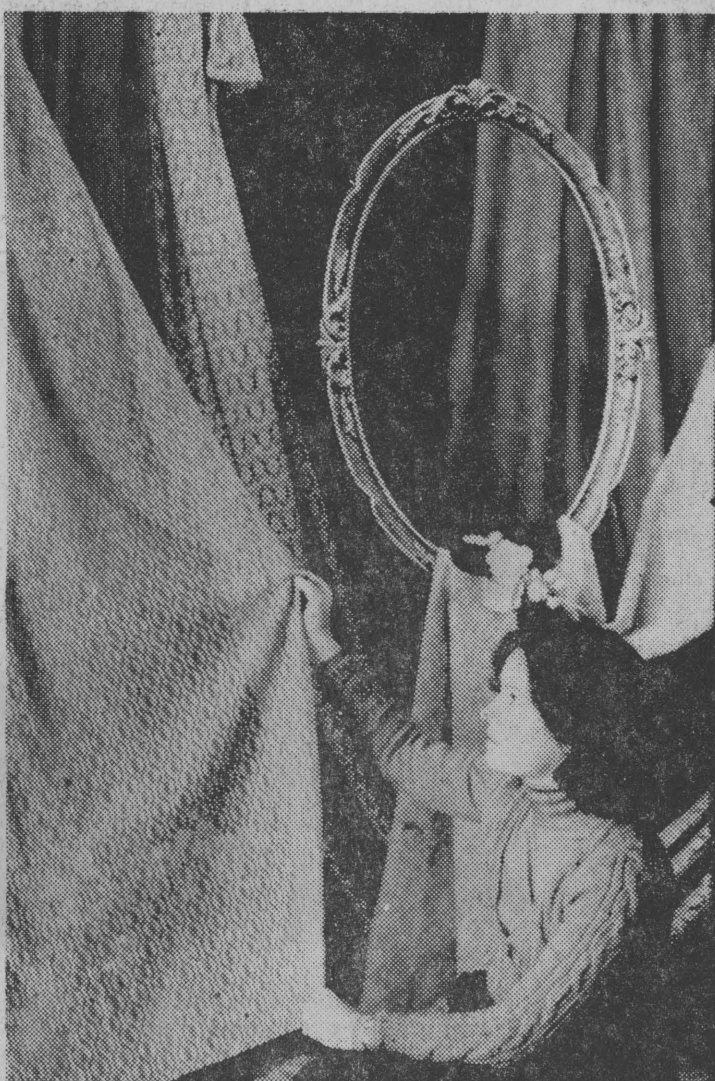
Czy na ziemniaku można zrobić dobry interes? Holandia w roku ubiegłym zarobiła na eksporcie ziemniaków i przetworów (mączki ziemniaczanej, glukozy) ponad czterech miliardów dolarów przy zbiorach wynoszących około 6 milionów ton.

A teraz porównajmy. W Polsce zbiera się średnio w roku około 50 milionów ton, z tego — z powodu niedostatecznej liczby odpowiednich przechowalni — marnuje się stanowczo za dużo ziemniaków. Dodajmy również, że Polska — drugi producent ziemniaków na świecie — kupuje za granicą na własne potrzeby glukozę, a bywało, że nawet i mączkę ziemniaczaną.

Jaki wypływa z tego morał? Taki mianowicie, że nasze zmarnowanie nie polega na braku możliwości i eksportowych szans, ale zawsze na tym, jak je mądrze wykorzystać. Płynnie stąd taki optymizm, że jest to kłopot państw raczej potencjalnie zamożnych niż ubogich.

Zapowiadane w Wytycznych Komitetu Centralnego KC partii zmiany w strukturze naszej gospodarki, a w szczególności przemysłu, pozwalają żywić nadzieję, że te potencjalnie duże możliwości będą dobrze wykorzystane.

JANUSZ STANKIEWICZ



16 milionów metrów kwadratowych firmamentu i kilka milionów metrów kwadratowych koronek wyprodukowane w tym roku zalogi łódzkiej zakłady „FAKO”. Są to wyroby dobre gatunkowo i estetycznie wykonane, o czym świadczy fakt przyznania im statusu znaków jakości krajowej. Ekspeduje się je zarówno do naszych sklepów, jak i za granicę m.in. do Kanady, Francji i ZSRR, CAF — Zbraniecki

DNI PRASY LUDOWEJ

Trwające od 9 listopada Dni Prasy Ludowej na Białostocczyźnie zbliżają się ku końcowi. Finałowy imprezę będzie wielki festyn ludowy, przewidziany w niedzielę, 18 bm. w Bielsku Podlaskim.



Informowaliśmy już 6 przebiegu spotkań autorskich dziennikarzy z czytelnikami, od chwili inauguracji Dni Prasy Ludowej. Przedstawiciele „Współczesnej” z redaktorem naczelnym Witoldem Lipińskim dyskutowali z pedagogami i studentami Filii Uniwersytetu Warszawskiego. Członkowie kolegium „Dziennika Ludowego” z redaktorem naczelnym Piotrem Ziarnikiem spotkali się z pracownikami BZPB „Fasty”. Dziennikarze „Zielonego Sztandaru” z zastępcą redaktora naczelnego Jerzym Kanią odwiedzili Fabrykę Opakowań „Pakpol”. Kolejna dyskusja odbyła się w gronie młodzieży i pedagogów Liceum Sztuk Plastycznych w Suprasiu, a jej tematem były sprawy kontroli kultury ludowej i profesjonalnej. Prowadził ją red. Wojciech Jankowski z „Tygodnika Kulturalnego”.

Żywe zainteresowanie wzbudził odczyt red. Jerzego Wojciechowskiego z „Dziennika Ludowego”, który przedstawił słuchaczom w Hainówce i Narewie najważniejsze fakty obrazujące obecną sytuację Polaków w kulturze i nauce światowej. W miniony czwartek red. Leonard Makieła z „Zielonego Sztandaru” na spotkaniu z pracownikami leśnictwa i działaczami ZSL w Białowieży omówił ideowe i polityczne doświadczenia ruchu ludowego, w ciągu 30 lat istnienia ZSL.

W piątek, 16 bm. odbędzie się cała seria spotkań dziennikarzy prasy ludowej z czytelnikami, m.in. w Brańsku, Surzów, Turośni Kościelnej, Uhowie, Jaswiłach i Mońkach. Wśród różnorodnej tematyki dominować mają sprawy szczególnie aktualne dla rolników i postępu gospodarczego na wsi. Naszym czytelnikom proponujemy też ciekawie zapowiadającą się dyskusję o problemach białostockiego środowiska literackiego. Organizuje ją redakcja krakowskiego tygodnika „ZSL”, „Więści” w sobotę, o godz. 17, w klubie literackim w Białymstoku, przy ul. Pododwornej 12, piętro XI, klatka IV.

Na zakończenie Dni Prasy Ludowej w niedzielę organizatorzy zapraszają na festyn do Bielska Podlaskiego. Imprezy rozpoczynają się już o godz. 9. Przygotowano wiele atrakcji, dla każdego coś interesującego. A oto tylko niektóre punkty programu: turniej solistów, pokaz mody i degustacja potraw regionalnych oraz mecz piłki nożnej o puchar red. naczelnego „Dziennika Ludowego”. W Domu Kultury otwarte zostaną dwie wystawy: 30 lat prasy ludowej w ślubię kraju i wsi oraz „Białostocczyzna w obiektywie” fotoreporterów prasy ludowej. Końcowym akordem Dni Prasy Ludowej będzie uroczysty koncert Centralnego Zespołu Artystycznego Wojska Polskiego, poprzedzony częścią oficjalną. (lk)

Fot. Z. Zaremba

c.d. ze str. 1

wiedział się, że bajki o wspólnych zonach to tylko bajki. Przekonał się także, że są to twardzi ludzie, umiejący do końca wytrwać przy swoim. Lekcje były pogładowe. Pewnego dnia przyjechał oficer w mundurze własowca. To był trudny okres na froncie wschodnim. Tłumaczył, że nie warto tu się marnować, że trzeba pomóc Niemcom w zrobieniu nowego porządku. Jeden z jeńców zapytał: „Kim ty właściwie jesteś?”

— Rosjaninem, przecież żaden Niemiec nie mówi tak dobrze po rosyjsku.

— Nie, ty jesteś sprzedawczykiem! Zabrał go żandarm. Słyszałem, że uciekał. Pewnie zginał.

Po przejściu frontu trafił do Goldapi. Tam też był młynarzem, mąka szła na zaopatrzenie armii maszerującej na zachód. Wiele mi zapałem, ale ciągnęło go do Warszawy, gdzie została rodzina. Wojskowy komendant miasta, za dobrą mąkę dla żołnierzy, postanowił mu pomóc. Miał lecieć do Warszawy samolotem. Pojechali na lotnisko polew. Pojechali jakiś kukuruznik, ale tak jakoś krzywo, jakby pilot miał dobrze w czubie. I rzeczywiście miał. Wszyscy także. I nigdy tego nie zapomni, ani tej chwili, pilanej także od sześćdziesiąt. Było to 9 maja 1945 roku. Pojechał samochodem najęty majorem „czesnego słowa”. Wzroci. Wrócił po dwóch tygodniach. Wkrótce zajął się trochę inną robotą. Już jako członek PPR został wykładowcą szkolenia partyjnego. Podobnie jak mu kiedyś, tłumaczył teraz, że socjalizm to wcale nie znaczy — wspólny kocioł i wspólne żony. Pierwszym osadnikiem z okolic Mrągowa i Giżycka to wcale nie było mniej ważne od chleba, na który mąkę tak

długo mieli. Zresztą przez pewien czas robił i jedno i drugie równocześnie. Po słowo i mąkę ludzie chodzili ładnie parę kilometrów. Przez kilka kadencji był i sekretarzem gminnego komitetu partii. Teraz powierzono mu funkcję i sekretarza komitetu zakładowego. W dyktacji SKR nie ukrywa się tego, że wybrano go „z wyrachowania”. Darski powiedział, że tym razem nieodwołalnie odejdzie na emeryturę. Ale zostanie w zakładzie jako sekretarz.

że zboże nie bardzo chce rosnąć na zakwaszonych glebach. Wiadomość o wapień zelektryzowała go. Na nieścisłości dowiedział się, że kopalnia stanela nie w czasie wojny, ale ładnie parę lat przed wojną. Jeśli Niemcy przestali kopać — powiedział — to znaczy, że nie warto. Młynarzowi z rodziną długą tradycją, który kocha mieć dużo zboża do mielenia, takie tłumaczenie nie bardzo trafiało do przekonania. Rozpoczął więc swoje „dochodzenie”. Odnalazł za

chcieli. A może po prostu nie lubili tej pracy. Bo jeśli się chce pracować dobrze, nie ważne jaka to praca, trzeba ją polubić.

W Soldanach pracuje się w trudnych warunkach. Kiedy spadnie deszcz w niesamowitej mazi można pogubić buty. Jak słońce, to wszystko zakleja nieprzyjemnym wapiennym pyłem. W tej sytuacji trzeba się umieć dogadać z ludźmi. Wbrew pozorom najłatwiej jest się domówić — taką teorię od początku wyznaje — nie gadaniem, ale robotą. To jest najlepsza mowa i do wszystkich dociera. Więc starał się po prostu pracować jak najlepiej. Dla własnego dobra oczywiście. Bo aktywność, jak twierdził, jest znakomitą na zdrowie. Oczywiście aktywność nie była jaka, nie było się ruszać. Trzeba być tam, gdzie się jest potrzebnym.

Kierownik Darski dał się raz jeszcze przekonać, że jest ciągle w zakładzie potrzebny, więc zupełnie na emeryturę nie odejdzie. Zostanie na półetacie no, bo przecież nie mu nie dolega, jest zdrowy, a w pracy jest o wiele ciekawiej niż gdziekolwiek. Ale kierownikiem to już nie będzie. Po co mają mówić, że Darski młodszy, ch nie puszcza na stanowiska. A ponieważ jest prezesem koła ZBoWiD, sekretarzem KZ i w dodatku rusza odkrywkowa kopalnia wapienia w Orzyszu (jest dobry fachowiec, który na pewno sobie poradzi, ale może się moje doświadczenie na coś przydać), więc roboty wcale nie ubędzie.

*

Jeśli więc to prawda, że na zdrowie najlepsza jest aktywność, a przekonanie o tym daleki od emerytalnego wygląd wyznawcy tego poglądu, to wiele jeszcze upłylnie lat zanim dojdzie on do wniosku, że czas już zająć się wyłącznie podlewaniem kwiatków w ogrodzie.

STANISŁAW KULIKOWSKI

Dar do pracy

Na ścianach kierowniczego pokoju wisi sporo dyplomów. Wśród nich dyplom uznania dla założonej wytwórni wapienia nawozonego w Soldanach podpisany przez I sekretarza KC i premiera. Zanim jednak w Soldanach wydobyto ponad 160 tys. ton wapienia, trzeba było przejść sporą drogę. Teraz, kiedy w szczytowym okresie ustawiają się tu w kilometrowej kolejce samochody z kilku województw, sprawa jest oczywista. Ale nie była taka oczywista od początku.

30 lat temu Darski pracował w okręgowym zarządzie PGR w Giżycku. Dowiedział się, że jest taki zdezelowany zakład w Soldanach, gdzie kiedyś wydobywano wapno. Doskonale wiedział, był przecież młynarzem, że nie ma mąki bez zboża. Jako pracownik PGR wiedział zaś,

Krukankami byłego współwłaściciela kopalni a wraz z nim dokumenty, które mówiły co innego. Przed wojną, przy ówczesnych niskich cenach na zboże, faktycznie interes z wapiem się nie opłacał, bo ewentualna zwykła płonów nie pokrywała ceny wapienia. W końcu lat czterdziestych była już zdecydowanie inna sytuacja. Później dopiero. Darskiemu przyszła z odsieczą doktor Stasiak, teraz już docent, która w zeszycie PAN napisała, że złoża kredy jeziorniej są jednym z największych bogactw Warmii i Mazur. W 1952 roku kopalnia wapienia ruszyła. Później odszedł do innej pracy, by w 1965 roku wrócić tu już na stałe. O tym, ile mu ten zakład zawdzięcza mówi niechętnie. Dlatego poprosił o niebardzo wygórowane. Może nie zawsze mogli, czy nie potrafili? Nie wierzy w to, że nie

HISTORIE WIARYGODNE

Wiele czasu upłynęło zanim człowiek oswoił się z ogniem, a zwłaszcza nim sam nauczył się go rozniecać. Gdy raz przekonał się o jego dobroczynnych skutkach, począł go strzec i otaczać niemalże boską czcią. Pod jego wpływem jaskinie naszych przodków poczęły wyglądać przynajmniej. Było w nich i jasność, i ciepło. Ognisko zawsze zajmowało miejsce centralne w domostwach poprzednich pokoleń.

W dzień służyło ono niegdyś do przyrządzania potraw, a nocą dostarczało ciepła i pociechy. Znaczący postęp w oświetleniu spowodowała łuczniczo-światła. Człowiek piekąc zuterzycę spopirował, że tłuściznę kapiny na ognisko podsyca płomien. Doszedł do wniosku, że wykorzystując go można zbudować przenośne źródło światła. Z czasem zaczął wteć oświetlać jaskinie i ziemianki, a później kurne chaty lampami w postaci kamiennych lub glinianych naczyń wypełnionych tłuszczem zwierzęcym. Rolę kłota pierwotnie spełniał płynący w tłuszczu kawałek tyka lub wosku, a później wprowadzono kłot z materiału. Jeszcze w roku 1763 ulica Paryża oświetlano 6500 latarni oliwnych, które działy się nie różniły się od tych sprzed tysięcy lat. Były to uprzedzone już nowoczesne latarnie, ale zasadę ich działania polegała na idei pierwotnych latarni kamiennych. Przez 10 lat w mieście nie zapalano ich, gdyż pełnia Księżycy — zaniemieniał — doświadczenie oświetlało miasto. W Lon-

dynie zaś jeszcze na początku ubiegłego wieku można było wyjąć latarnię, którą idąc z pochodnią oświetlać mroczne zaułki tego miasta.

Dalszy postęp w tym kierunku stanowiła świeca łojowa i woskowa. W zależności od bogactwa domu palono albo jeden, albo drugi gatunek świecy. Przez wiele wieków świeca panowała wszechwładnie, oświetlała zarówno w bogie izby wieśniaków, jak i pałacowe sale. W średniowieczu wyrobów świec był rzemiosłem nie tylko intratnym, ale i szanowanym.

Pierwsze świece stearynowe, takie jakimi jeszcze dziś posługujemy się w przypadku braku prądu elektrycznego, zaczęto wyrabiać dopiero na początku ubiegłego wieku.

Jednak prawdziwą rewolucję w oświetleniu spowodowała dopiero lampa gazowa, a później lampa naftowa. W połowie XIX wieku stwierdzono, że destylat „oleju skalnego” doskonale się pali, zaczęto więc myśleć nad wykorzystaniem go jako nowego źródła światła.

Jak każdy postęp, tak i ten nie dokonywał się bez oporów i trudności. Gdy w 1819 roku projektowano oświetlenie ulic w miastach niemieckich, gwałtem, nieznanym autor — pisał wtedy: „Wielką myśl o użyciu tego wynalazku do oświetlenia miasta należałoby bezwzględnie odrzucić”.

1) ze względu na zdrowotnych, gdyż produkty spalonych gazów szkodziłyby organizmowi ludzkiemu, a ponadto światło dozwala lu-

dziom na przebywanie na ulicach w nocy...

2) ze względu na fizjologicznych, gdyż oświetlenie wpływa ujemnie na moralność.

Rząd powinien wystąpić kategorycznie przeciw tak szkodliwym chęciom obywateli i potępić takie wynalazki”.

Wśród przeciwników oświetlenia gazowego znalazł się członek Akademii Francuskiej, pisarz Karol Nodier, „jeżeli drzewa pousychają, jeżeli obrazy u-

tracą swój kolor i potęmią, jeżeli ludzie z czasem się wyduszają jedynym winowajcą będzie gaz” — pisał tenże uczony. Postęp jest jednak niepohamowany. W 1823 roku 40.000 latarni gazowych oświetlało 215 mil londyńskich ulic. Miłośnicy płomieni gazowych zwyciężyli. Wkrótce zaczęły się pojawiać uliczne latarnie, a także w domach i fabrykach.

Lampy naftowe pojawiły się nieco później, bo dopiero w drugiej połowie ubiegłego wieku. Po długich bezowocnych próbach udało się w końcu otrzymać z bezużytecznej wtedy ropy naftowej — destylat nadający się do oświetlenia. Na przekładzie stał brak lamp. Wskazywał na niego skonstruowanie lampy naftowej, która mogłaby być używana do oświetlenia pomieszczenia, podjęli Polak Ignacy Łukasiewicz, Lam-

pe, według pomysłu Łukasiewicza, skonstruował zwykły kocioł. Dawata ona jasny, a co najważniejsze nie kopący płomień. Ilu z nas nie uczyło się, bądź nie pracowało przy przylutym świetle naftowym? Ten niezwykle pożyteczny wynalazek nie znalazł jednak szybkiego uznania. Jako pierwszy w świecie zastosował oświetlenie naftowe Szpital Powszechny we Lwowie (1853). Od tego momentu lampa naftowa rozpoczęła swoją karierę.

Po oświetleniu naftowym przyszła kolej na oświetlenie elektryczne. Ale, jak wszystko co nowe, tak i ten załamał się na opór, a nawet wyrażony sprzeciw. Dodać wypada, że pierwsze świece elektryczne, bo taką nosiły one nazwę, skonstruowane przez Rosjanina Pawła Jabłoczkowa, były zbyt niedoskonałe, by mogły się upowszechnić. Ten młody rosyjski emigrant, który nie znalazł w własnej ojczyźnie zrozumienia dla swoich prac, w 28 roku życia wyjechał do Paryża. Tu, wręczystwistnie, on swą odkrywcze marzenia, torując drogę żarówce Edisona. Jabłoczkow opatentował swój wynalazek 23 marca 1876 r. we Francji pod nazwą „la lumière russe” (światło rosyjskie).

W noc sylwestrową 1879 roku w Menlo Park — siedzibie Edisona — żarówka 800 żarówek. Prąd elektryczny

uprzedniemu w służbę człowieka, po dziś dzień oświetla mu mieszkanie, miejsca pracy, rozrywki. Kto jednak zastanawia się nad wysiłkiem ludzi, którzy dokonali przeobrażeń w zakresie oświetlenia naszych domów, miast i wsi?

Żarówka elektryczna nie tylko znakomicie polepszyła oświetlenie wnętrz. Kiedy w Nowym Jorku zaczęto stosować oświetlenie żarówkowe, szef policji zaważył, że każda latarnia uliczna zastępuje jednego policjanta.

Początkowo światło elektryczne budziło zrozumiałą sensację. Pod lampami gromadziły się ciekawscy żywo dyskutujący nad naturą światła elektrycznego. Wielu z nich było przekonanych, że prąd stanowi swoisty olej, który dopływa do lamp po drutach. Nie brakowało oponentów, którzy uważali, że światło elektryczne jest niezdrowe. Inni szdżili, że jasno oświetlone ulice będą sprzyjały „ożywojeniu” życia ulicznemu.

Wkrótce światło elektryczne przewyższyło wszystkie obawy i zapanowało zarówno w domach, jak i zakładach pracy, a także na ulicach.

Bywało, że stanowiło ono swoistą atrakcję. A Stepowski otwierając w Warszawie w 1897 r. nową restaurację na pierwszym miejscu reklamował nowoczesne oświetlenie, a dopiero na drugim „kuchnie wytworną”.

Warszawa przeżyła swój wielki dzień, gdy chodzi o elektryczne oświetlenie, w momencie przyjazdu cara do Zamku. Wykonania tego oświetlenia podjął się F. M. Kuwatowski, pod groźbą cofnięcia zamówienia państwowym. Ustawił on wtedy w pobliżu Zamku lokomotywę o ogólnej mocy 75 KM. Głowa ludowa z desek podczas ruchu trzech lu-

komobil trzęsła się, pasy niemiłosiernie szarpały wół, od którego miała napęd prądnicą. Zdarzało się, że lata moment uszytko się rozleci, no i rana! na Zamku pozabawiony zostanie światła” — opisuje Kuwatowski. Na szczęście uszytko się udało. Oświetlenie elektryczne funkcjonowało także w Teatrze Wielkim uświetniając pobyt cara w Warszawie.

Od czasu do czasu, gdy zabraknie prądu elektrycznego w naszych domach, wtedy dopiero uświadomiamy sobie jego dobrodziejstwo w całej jego pełni. Choć jak każdy wynalazek, tak i oświetlenie prądem elektrycznym ma swoją odwrotną stronę. Oto wyjątek z autobiograficznych wspomnień fizyka Leopolda Infelda z nocy, kiedy to Nowy Jork pograżył się w ciemnościach: „Wszyscy się zdziwili jak spokojnie ta noc przeszła. Tylko w Bostonie z wiezieniami o elektrycznych zamkach uciekło osiemdziesięciu więźniów. Ale Nowy Jork zachował się na medal! Kto miał blisko jakas przyjaciółkę, szedł do niej, chociażby mieszkała na siedemnastym piętrze. W dziewięć miesięcy później szpital w Nowym Jorku zanotował niezwykle przyrost liczby porodów. Po kilkunastu latach miasto to znów pograżyło się w ciemnościach, ale noc nie była już tak spokojna.

Na oświetlenie elektrycznym nie może się zakończyć ewolucja techniki oświetleniowej. Wyobraźmy sobie jak prąki strażnicy spowodowałyby nagłą pracę zastąpienia oświetlenia elektrycznego innym, nowym rodzajem oświetlenia? A jednak musimy się liczyć poważnie z taką możliwością.

CZESŁAW WRONKOWSKI

Fiat lux

KARTKI Z WĘGIER

Najpiękniejszy zawód świata

Ceny na Węgrzech są wysokie, można powiedzieć, że w niektórych przypadkach bardzo wysokie. Węgry musi się obecnie dobrze zastanowić przed dokonaniem takiej, czy innej inwestycji a nawet większego codziennego zakupu. Ostatnia lipcowa regulacja cen przyniosła podwyżkę cen artykułów żywnościowych (średnio o 30 proc.) i obniżkę określonych wyrobów przemysłowych (radio, telewizory, sprzęt techniczny; stanął m.in. motorower „Komar” importowany z Polski). Ale przybyś z naszego kraju nie dostrzeżesz w pierwszym momencie cen, widzi natomiast w to miejsce bogactwo witryn wielkich magazynów handlowych, uginające się pod towarami z całego świata półki i lada sklepowe. A wszystko to w doskonałym wyborze, ładnie zaprezentowane, estetycznie zapakowane, serwowane przez personel, który poziomem obsługi bije na głowę nasze lokale kategorii S.

Węgry przyjęły podwyżkę cen artykułów żywnościowych zrekompenzowaną w praktyce symbolicznym dodatkiem z całkowitym zrozumieniem, jako konieczny etap długofalowej reformy. (W przeciwnym razie np. do Czechów i Słowaków, którzy mimo całej dyscypliny po „słowiańsku” wybrzydzą na nowe ceny). Owszem, przynajmniej Madziarzy, jest drogo, ale wszystko można dostać. O tym, że w istocie wszystko można kupić i to nawet w najmniejszej ilości, wiedzą najlepiej poniekąd nasi turyści.

Żywność różnych firm: Wranglers, Lewisy, Lockery, ale także rodzimych z Paragwaju i nie gorzej własnej produkcji zalegają całymi hałdami; kupony ubraniowe z walny angielskiej i zachodniemieckiej (za skromne 4500 forintów) w sklepach typu naszej „Mody Polskiej” i najlepsze marki piwa czechosłowackiego, austriackiego, zachodniemieckiego (również z samego Monachium), polskiego... (Oczywiście, to najlepsze polskie, Okocim, Żywiec, którego u nas prawie nie uświadczysz, a na które węgierscy smakosze jeszcze wyrzadzają). Nawet takemu abstrahującemu jak ja co rusz to kręciło się w głowie. Tradycyjny nasz sentyment do Węgier, wywołujący się jeszcze z epoki romantyzmu, zyskał więc sobie w świecie współczesnej konsumpcji również nieoczekiwane go silnego sprzymierzeńca.

Na tym le łatwiej nam przybliżyć zrozumieć sens słów jakie wypowiedział I sekretarz KC WPP Janos Kadar na marginesie przywotów do reformy na naradzie aktywu 25.IX br.: — „My Węgry mamy już czego bronić...”

Jak to się widać, że ten naród hodowlany był w ciągu niespełna dwóch pokoleń przekształcił się w społeczeństwo producentów i kupców? Jakże mechanizmy sprawili, że węgierska gospodarka 40 proc. dochodu narodowego wytwarza na drodze wymiany międzynarodowej? Powie ktoś: Węgry wyszły z wojny prawie bez zniszczeń. To prawda; ale z drugiej strony natomiast, że jest to kraj praktycznie pozbawiony surowców (z wyjątkiem rud boksytów).

Wiem co się stało na Węgrzech?.. Szukałem uparcie odpowiedzi na to pytanie, z podobnym moim na podobne pytania próbując sobie odpowiedzieć za każdym razem kiedy przebywałem w Czechosłowacji czy NRD. Mówiły wyraźnie: szukałem, próbowałem, bo nie ma zapewne jednej odpowiedzi i nie podobna wyzerpać tego tematu w jednym artykule.

Skąd więc się wzięło to bogactwo, zasobność i dostatek, ten wysoki poziom kultury obsługi na Węgrzech czy w jakimkolwiek innym równie zamożnym kraju? Nie trzeba się powoływać na starego Marksa czy jeszcze starszego Smitha, aby odpowiedzieć że tylko praca jest źródłem bogactwa jednostki i całego narodu — jeśli wyłączymy życie na kredyt, co na dłuższą metę jest działaniem samobójczym.

A zatem jak Węgry pracują? Na początek tytułem wstępu dwie obserwacje: nigdzie nie widziałem Węgry zagonionego, spoczonego, nieprzytomnego ze zmęczenia i nigdy też nie widziałem Węgry, aby w czasie pracy był bez zajęcia, siedział bezczynnie czy też odawał się błogiemu lenistwu, bo właśnie nie dowiedziałem się, bo zabrakło czasu, bo majster nie widzi... Zapamiętajmy sobie te obserwacje: nie zaharowyją się, nie pracują jak się to często u nas dzieje pół godziny na pełny gaz, a potem dwie godziny odpoczynku, lecz pracują, można by prawie rzec, wolno, lecz dokładnie i systematycznie.

Widziałem wiele węgierskich fabryk, dużych i małych, zwiędziały państwowe gospodarstwa rolne i spółdzielnie produkcyjne i to co mi się rzuciło przede wszystkim w oczy, to rytm spokojnej, dobrze zorganizowanej pracy.

Chciałbym teraz te ogólne obserwacje zilustrować paroma przykładami wziętymi z tzw. życia. W Zalaabaras zwiędziało nowe sanatorium. Dyrektor zapraszając do skorzystania z sauny opowiadał po drodze o charakterze zdrowiska, jakie choroby się tu leczą, kto z ich usług korzysta, m.in., dodał kurtuazyjnie, coraz więcej mają ostatnio kuracjuszy z Polski. A ja w pewnym momencie zagapiłem się na taki obrazek: długim korytarzem posuwała się kobieta ze ścierką. Dochodziła do końca korytarza, zwracała i tym samym monotonnym ruchem szorowała białą posadzkę. I takim powolnym ruchem wahadłowym przez całe osiem godzin...

A wiecie jak to u nas bywa: wpadają sprzątkaczki w ciągu dnia na godzinę, dwie, i po robocie. Nawet w naszych szpitalach i to tych skądinąd najlepszych operacja sprzątania pokoju trwa 5-10 minut. Nie dziw, że u nas jest tak czysto jak jest. Wszyscy dyrektorzy hukną na mnie teraz wielkim głosem: skąd wziąć ludzi do pracy? Odpowiadając: skąd biorą Węgry w swoim kraju, gdzie przyrost naturalny jest parokrotnie niższy niż u nas? Ale Węgry wiedzą dobrze podobnie jak to wiedzą Czesi, Niemcy, Amerykanie, Japończycy, Belgowie i inni, że ile się człowiekowi pracuje, kiedy wokół jest brudno, kiedy przykładowo wejście do ubikacji przyprowadza do mdłości.

A jak sobie Węgry radzą z brakiem rąk do pracy, niech posłużą przykład z tego Zalaabaras. Sanatorium, położone w niewielkiej wsi, ma w lecie, a więc w pełni sezonu kłopoty z zatrudnieniem personelu, zwłaszcza pomocniczego, niekwalifikowanego. Jednocześnie w tym czasie jest więcej chętnych

do leczenia niż wolnych miejsc. Dyrekcja postawiła więc warunek: przyjmijmy, ale na zasadzie odwrotnego świadczenia. Wiele pensjonariuszy Zalaabaras występuje więc w podwójnej roli, leczących się i pracujących przez dwie, trzy godziny zgodnie ze swymi kwalifikacjami na rzecz sanatorium. Taka rehabilitacja z konieczności.

Osobiście najbardziej zazdrościłem Węgrom hoteli, nowoczesnych, bogatych wystrojem architektonicznym, funkcjonalnych. I tej niebywałej wprost obsługi: recepcjonista w tym samym momencie jedną ręką wpisuje adnotację meldunkową, drugą zamawia telefonicznie takówkę, zdawałoby się, że ma trzecią rękę, która podaje jednocześnie klucz. Wszystko to czyni z uśmiechem, a zarazem z godnością, niemal dostojnym wynajmającym się świadomości znaczenia swojej pracy.

W parę dni później, jakby ktoś specjalnie wyreżyserował tę sytuację dla uchwycenia całego kontrastu, wróciłem do Białegostoku w towarzyszącym dziennikarza węgierskiego. W obokurnym, zle oświetlonym holu hotelu dwóch rosyjskich milicjantów w pełnym rynsztunku służbowym ledwie się mieściło w wysłużonych fotelach. W recepcji dwie panie zajęte rozmową ze sobą (wzajemnie: dlaczego? Odpowiedź: z braku rąk do pracy, a poza tym, żeby się nie nudziły, wiadomo przecież, że wolnych pokoiów i tak nie ma) jednocześnie wystudiowanym ruchem małym pilniczkiem czyszczą sobie paznokcie. Dokładnie przez pięć minut nie zwracają na nas najmniejszej uwagi. Czuję jak na mojej nieskorej do rumieńców twarzy bije prawdziwa luna. Węgier taktownie milczy, tylko jego oczy robią się coraz większe i większe. No, ale jeszcze jest pokój przed nami, brudny z poobijanymi szpilkami, z zapachem dwumianem pośrodku. Na drugi dzień gość z Węgier formalnie chciał uciekać...

Restauracje, kawiarnie, bistra. I znów musiałbym powiedzieć to, od czego rozpocząłem artykuł: ceny są rzeczywiście wysokie. Ale jednocześnie pełny wybór dań, zakąsek, zagranicznych frykasków. Wszystkie rodzaje wędlin, a poza tym ryby, owoce, znakomite surówki. I czyste, wszędzie niemal sterylne czystości. Wreszcie obsługa: jeszcze człowiek nie zdążył usiąść już kelner usłużył pochylony czołem na zamówienie. I już się zjawia na stole pachnące pieczywo, masło, przystawki.

Przez cały czas pobytu na Węgrzech myślałem o rewanżu. Moteli w Wyszkowie, pomyślałem, to przecież jak esarda (zjazd) na Węgrzech. Najpierw wysupałem po dwa złote celem wejścia do wiadomości przybytku. Potem rozpoczęła się długa dyskusja, żeby nas puszczono do środka. Zaraz zamknięto — upierała się kelnerka. — O której? — O 22-ej. — No to przecież jeszcze mamy pół godziny czasu — replikowałem. Nie pomogło, musiałem się uciec do ostatniego argumentu, że mam gością za granicą. Ale kelnerka miała swoje powody: nie już nie było na gorąco i tylko zimne nóżki w bufcie. Przenieśliśmy fakt, że moteli prowadzi prywatny agent.

Na drugi dzień w hotelu w Białymstoku było jeszcze gorzej. Na śniadanie zaproponowano nam tylko jajecznicę. Kiedy sobie przypominałem, że wystawne posiłki na Węgrzech, to tylko rece zaciągałem w beślonej wściekłości.

Niedawno przeczytałem taką wypowiedź robotnika z Zachodnich Niemiec: — My robotnicy, powiedziano mi, i to jest okrutny paradoks obecnej sytuacji, jesteśmy najbardziej zainteresowani wysoką jakością naszej produkcji, ekspansją eksportową. Bo jak moja fabryka produkuje dobrze i na eksport, to wiadomo, jest praca i są wysokie zarobki, a jak jest odwrotnie, to w pierwszej kolejności w nas to uderza. A ja pomyślałem sobie wówczas z pewną zawisłością, że nowoczesny kapitalizm z wiadomymi motywów więcej sobie przyswoił z socjalizmu, choćby tę wymuszoną, rygorystyczną robotniczą odpowiedzialność za losy zakładu, niż my z kapitalizmem. Ale wydaje się, że Węgry mogą o sobie powiedzieć, że nie przegnali nauki do lasu. Organizacja pracy, motywacje osobiste, wyciąganie wszystkich konsekwencji z praw rynku — wszystko to rokuje, że Węgry mimo kryzysów tradycyjnych ludzkość nie tylko utrzymają swój wysoki standard życia ale być może jeszcze go podwyższą.

Motywacje osobiste. Co decyduje, że człowiek pracuje dobrze? Oczywiście, przekonanie oparte na potwierdzonych faktami zaufaniu, że im będę wydajniej pracował, im wyższa będzie jakość mojej pracy, tym lepiej w pierwszej kolejności mnie się będzie powodziło. I wówczas nie ma znaczenia czy jest się robotnikiem, marynarzem, leśnikiem, inżynierem, rolnikiem, lekarzem czy kelnerem.

A propos kelnera. W restauracji, hotelu pod „Złotym baranem” w Zalaabaras przez jednego z stołków siedział lekko podchmielony młody człowiek w mundurze pokojowym. — To mój kolega — wyjaśnił tłumacz — grywalśm w piłkę nożną w jednym klubie, kelner z zawodu. Czy może się przysiąść? — Co pan będzie robił po powrocie z wojska? — zapytałem. — Jak to co? — zdziwił się młody człowiek. — Będę znów kelnerem. To najpiękniejszy zawód świata — dodał z rozmarzeniem.

Czy ktoś spotkał w Polsce kelnera, który by mu wyznał na trzeźwo albo po pijanemu, że wykonuje najpiękniejszy zawód świata? Nie musi to być zresztą kelner... Ale najtrudniejsza jest odpowiedź na pytanie: dlaczego ich nie spotykamy.

MARIAN WIŚNIEWSKI

Jesteśmy za nowym programem działania miejskiej organizacji partyjnej.



NA PARTYJNYM FORUM

Po prostu nasze

Na godzinę przed otwarciem konferencji partyjnej delegaci i zaproszeni goście uczestniczyli w uruchomieniu miejskiej komunikacji. To wydarzenie miało coś z symbolu. Dla delegatów, a zarazem wszystkich mieszkańców Hajnówki. Dla partyjnych mandatariuszy oznaczało zrealizowanie jednego z punktów programu działania, uchwalonego na podobnej konferencji sprzed dwóch lat, a dla drugich spełnienie ich licznych postulatów, zgłaszanych przy każdej ważniejszej okazji: spotkań przedwyborczych, zebrań partyjnych, rozważań osiedlowych.

Czy to symboliczne — jak wspominałem — wydarzenie miało także jakiś wpływ na przebieg obrad partyjnej konferencji sprawozdawczo-wyborczej? Sądzę, że tak. Z wystąpienia poszczególnych dyskusyjników przebiegała głęboka troska o to, aby za słowami szły zawsze konkretne czyny, za składanymi publicznie deklaracjami — faktyczne, sprawdzalne działania, przynoszące efekty.

I tu mała dygresja natury organizacyjnej. Prawie wszyscy dyskusjanci na konferencji mówili z pamięci, bez kartek. Niby drobna rzecz, a ważna. To nadawało ich wystąpieniom autentyczny, zaangażowany, odpowiedzialny charakter. To zmuszało ich również do pewnej samodyscypliny, ważenia każdego wypowiedzianego słowa.

Jakie były te dwa minione lata dla Hajnówki, jej mieszkańców? Gdyby zebrać w jedną całość wszystkie pozytywne i negatywne, plusy i minusy, to w sumie bilans musi wypadć dodatnio. Może najbardziej złożona sytuacja panowała w przemyśle. Rok 1978 wypadł pomyślnie. Zakłady hajnowskie zamknęły go bowiem 20-milionową nadwyżką.

Niestety, pierwsze miesiące tego roku zakłóciły normalny tok produkcji. Przerwy w dostawach surowców i materiałów, energii, środków transportowych spowodowały znaczne niedobory produkcyjne w trzech kluczowych przedsiębiorstwach. Ale dwa spośród nich — „Tartak” i „Hamech” już odrobiły załagłości. Najtrudniejsza sytuacja panuje natomiast w „Chemicznej”, której grozi niewykonanie rocznych zadań.

Duże sukcesy odniesiono w budownictwie mieszkaniowym, wielo- i jednorodzinnym, gospodarce komunalnej, handlu, usługach. W tych dziedzinach jest się czym naprawdę pochwalić. Wszystko wskazuje na to, że w tym pięcioletnim Hajnówka uzyskała o ponad 200 mieszkań więcej niż przewidywał plan, zresztą bardzo napięty.

rodzina oraz wspomnienie tamtego wiejskiego domu.

Nie mieli w nim łatwego życia. Ojciec w ostatnich dniach sprzedawał cały inwentarz, wszystkie maszyny rolnicze. Została ziemia, dwa puste chlewy, rozspijające się budynki. I chyba z 50 tys. długu w banku spółdzielczym.

Sprawy rozliczenia tego co pozostało, złożono na ręce naczelnika gminy. Chętnych na kupno ziemi na razie nie ma. A gdyby się znaleźli to aktu przekazania własności nie wyrabia się z dnia na dzień. To trwa. Trzeba przeprowadzić przed sądem podział majątku...

Gdy wszyscy Chaberkowie zjadali do domu w Łomży, ciocia a raczej mama Zofia rozkładała w dużym pokoju materace pożyczone od znajomych. Jest ciśnie, ale dzieci mogą być razem, rozmawiać, śmiać się. Obiad w takich dniach gotuje się w

Znacznej poprawie uległy warunki bytowe i socjalne zarówno załóg pracowniczych jak i wszystkich mieszkańców miasta. Wspomnę może o największym dorobku: rozwiązaniu problemu opieki nad dzieckiem w wieku przedшкольным. W ostatnich dwóch latach miasto przybyło 3 przedszkola i 1 żłobek. A więc więcej niż w



HPPD jest największym zakładem miasta, wytwarzającym szeroki asortyment wyrobów. NA ZDJĘCIU: fragment linii technologicznej Fabryki Mebli — przy pracy Piotr Czykwin.

całym 35-leciu. No i ruszyła komunikacja, ułatwiająca ludziom w tym rozległym mieście — uciążliwe dojazdy do pracy.

Miasto również wypiękniło. Poprawiono stan wielu ulic, posesji, elewacji, pobudowano w osiedlach place zabaw dla dzieci, zabudowano o tzw. małą architekturę wnętrz osiedlowych (przykład: Osiedle „Millennium”). Jest to w dużej mierze efekt działalności samorządów mieszkańców, realizacji czynów społecznych, których ogólna wartość sięga ponad 20 milionów złotych.

A jednak na konferencji wyraźnie dało się wyczuć pewien niepokój, z troską. Okazuje się bowiem, że właśnie przyspieszony rozwój miasta jednocześnie ujawnia cały szereg starych punktów. Zależnych i niezależnych od miejscowych władz, partyjnych i administracyjnych, środków i możliwości, jakimi aktualnie one dysponują.

Pilną sprawą dla Hajnówki jest budowa szpitala, dworca kolejowego i autobusowego, oczyszczalni ścieków, ciepłowni. Miasto potrzebuje również placówek handlowych i usługowych z prawdziwego zdarzenia, stołówek osiedlowych i pracowni... Wszystko jak w tym przysłówku: apetyt rośnie w miarę jedzenia.

Może najbardziej obrazowo wyraził to tow. Aleksy Zin. Opowiadał mianowicie, z jakimi sprawami zwracali się do niego ludzie w minionym 35-leciu. Najpierw prosili o ułatwienie im kupna walonek i walców, potem rowerów i motocykli, a dziś proszą o możliwość nabycia kompletów mebli w stylu retro. „To dla mnie jest najlepszy barometr przemian, jakie dokonują się w naszym mieście i naszym życiu”.

Ale ten — barometr — wskazywał inni dyskusjanci — kaže się także zastanowienie nad tym, jakim sprawom w danej chwili trzeba nadać pierwszeństwo w rozwiązywaniu wielu ważnych problemów gospodarczych i społecznych. I jednocześnie widzieć zależność, i to na co dzień, między postępowaniem gospodarczym a jakością pracy, postawami ludzkimi, ideowym zaangażowaniem.

Wszystkie cieszą się, że hajnowskie zakłady przemysłowe sięgają po nowe technologie, rozbudowują się i unowocześniają, poszerzają zakres produkowa-

nych wyrobów. Ale jednocześnie i niepokoi, że wielu ludzi nie szanuje powierzonego im mienia społecznego. „Nadal mamy sporą grupę ludzi, którzy z powodów złej eksploatacji maszyn, awarii, a nawet niszczenia drogiej maszyny i urządzeń...”

Boli także i to, że wypadki takie dzieją się na oczach obojętnie patrzących współtowarzyszy. „Udaje im się, że nie wiedzą, iż jest to nasz wspólny majątek, że na zakup maszyn wydano nasze wspólne pieniądze”. Ostrze krytyce poddano tzw. zapobiegliwych, których częściej jeszcze podziwia się w sprytności, cynicyzmie. „Zapomina się, że zakładowe, państwowe, spółdzielcze to nie „kaszonki”, a nasze i jeśli ktoś wziął więcej niż mu się należało — to czyż wziął moje, mego kolegi, po prostu nasze”.

Nadu i porządku, planu i odpowiedzialności, marowania mienia społecznego — oto inne zjawiska, opóźniające i hamujące postęp. Trzeba im zdecydowanie przeciwstawić szeroką opinię społeczną, wydatną ostrą walkę. Nie gromkimi słowami, ale konkretnymi działaniami wychowawczymi, ideowo-politycznymi, inicjowanymi i kierowanymi głównie przez organizacje partyjne, ludzi partii.

Nie może to jednak być działalność anonimowa, bezimienna, ogólnikowa, ale adresowana do konkretnych środowisk społeczno-zawodowych. Dlatego tak wielką rolę jest tu najmniejszą komórkę partyjnych grup, oddziałowych i podstawowych organizacji. Prace partyjne cechować musi więc konkretność, elastyczność, musi ona być lepiej dostosowana do aktualnych, ciągle zmieniających potrzeb, zainteresowań i aspiracji ludzi.

Chyba nieprzypadkowo tyle uwagi na konferencji poświęcono sprawom wychowania młodego pokolenia. Hajnówka jest tu miastem, które znajduje się w okresie „wzrostu demograficznego”. Stale przybywa miastu wielu młodych, zdolnych, wykształconych ludzi, w tym tak potrzebnych fachowców. Czy jednak zawsze potrafia oni odnaleźć się w mieście?

Z dużą troską mówili o tym, że w tym nauczyciele, o potrzebie stworzenia jednolitego, zintegrowanego frontu wychowawczego, odwołującego się do Wychowania na VIII Zjazd, w którym mocno akcentuje się sprawę umacniania socjalistycznej rodziny, jej funkcji rozwojowych, opiekuńczych, wychowawczych. Ale nie można zwałniać od obowiązków wychowawczych szkoły, zakładu, organizacji społecznych.

Dlaczego wiele miejsca poświęcono właśnie tym sprawom? Towarzysze mówili wprost: nie wystarczy postarać się o dodatkowe środki na rozwój miasta, zmniejszenie zakładu przemysłowego, budować obiekty socjalne, komunalne, handlowe. Później swoją pracę, obywatelską postawą trzeba w całości spłacić dług czasy, który wobec państwa, społeczeństwa, siebie. „Szanie mają bowiem tylko ci, którzy dobrą pracę z pozytywnym wykorzystaniem w sobie przypinają im środki materialne. Najlepiej wiemy o tym z własnego doświadczenia”.

Właśnie.

STANISŁAW ŚWIERDŁO

Fot. Z. LENKIEWICZ

Gdyby Zofia Bałdyga zdecydowała się na założenie rodzinnego

domu dziecka, z pensjonariuszami, z których każdy miałby za sobą

przewód sądowy o adopcję... szanse rozsupłania spraw, które w jej

życiu bardzo mocno się poplątały, byłyby duże. Ale ona za „piekowała

się dziećmi własnej siostry. Z serca. Więc sprawa wygląda beznadziejnie. Ludzie patrzą jak ta szczupła kobieta boryka się z dziesiątkami

problemów, które wzięła na siebie dobrowolnie. I pytają — po co jej to było!

Chaberkowie mieszkali w Kachłach koło Małego Płocka. To była zwykła wiejska rodzina

— matka, ojciec i czworo dzieci. Przed dwoma laty matka zmarła, w pół roku później — ojciec. Zostało

czworo dzieci w wieku, w którym dzieciństwo się już kończy, a rozpoczera dorosłego życia jest jeszcze

za wcześnie. Przyjechała ciocia, Zofia. Stała się dla nich jak matka

— Sami nie możecie zostać — powiedziała i zaczęła pakować ich bledne rzeczy. W domu w Łomży, gdzie mieszka z mężem i dwójką swoich

dzieci, zrobiło się ciasno. Sprawy, którymi żyła, nagle się potroiły.

Zaczęła od najważniejszych spraw. Najpierw wyprawiła najmłodszego

z szkoły. Wieksta do Technikum Mechanicznego w Łomży, a Jurka do Technikum Samochodowego w Ostrołęce. Maria po ukończeniu meta-

lowej ZSZ zamieszkała u dalekiej rodziny w Dobrym Lesie.

W Łomży zatem pozostał Wiesiek

największym garnku. Rozmawiają wtedy z Jadzia o kupię któregoś z

chłopców, oglądają ich ubrania, bu-

ty, pytają o potrzeby. Pani Zofia do-

kłada do pensji Jadzi, która pracuje

na poczcie, pensji dla jednej osoby

dziennej na całą rodzinę. Pewnie

nie wystarczyłoby jej gdyby nie do-

moć pani Zofii.

— Czy liczę na jakąś „rekompensa-

te”? To przecież rodzina, dzieci.

Aby tylko mogły być razem to bę-

dzie dla mnie cała nagroda. Obcość

świata jeszcze zdąży poznać.

Martwi się mama Zofia, że dzieci

nie mają własnego kąta. Tu sercem

niczego się już nie załatwi. Tu są

urzędy i przepisy.

W trzy miesiące po śmierci ojca,

w czerwcu br. Jadwiga Chaberek,

jako najstarsza i pracująca złożyła

prośbę o przydział mieszkania. Opi-

sała w niej sytuację w jakiej się

znalazała ze swoim rodzeństwem. Nie

prosiła o luk asy. Pismem z dnia 20

czerwca 1979 r. dyrektor Wydziału

Gospodarki Terenowej i Ochrony

Srodowiska w Łomży odpowiedział:

„W związku z podaniem skierowa-

nym do Wojewody Łomżyńskiego w

sprawie przydziału mieszkania, wy-

dział Gospodarki Terenowej i Och-

rony Srodowiska Urzędu Wojewód-

kiego w Łomży informuje, że w tym

celu należy uprzednio uzyskać zado-

kostwo w spółdzielni mieszkaniowej.

Bez tego warunku nie jest możli-

we udzielenie jakiegokolwiek po-

moocy w uzyskaniu mieszkania, po-

niemaj innych mieszkań poza spo-

dzielnicą nie buduje się obecnie.

Ewentualnej pomocy w zgromad-

zeniu niezbędnego wkładu mies-

kaniowego może udzielić na dopo-

Śmieszne

nych warunkach macierzysty zakład

pracy, względnie oddział PKO w

Łomży.

W obecnym stanie rzeczy pro-

bowatki nie może być uwzględ-

niona”.

Wobec tego dzieci postanowiły

zgrupować wkład. Część wkładu

pracująca Jadzia. Resztę dołożyła

pani Zofia biorąc pożyczkę w swo-

zakładzie pracy. Pieniądze wpła-

no. Wysłała następną prośbę o przy-

dział mieszkania.

„W nawiązaniu do pisma z dnia 20

czerwca 1979 roku nr GT III

5/8174/10779 Wydziału Gospodarki

Terenowej Ochrony Srodowiska



Kapusta z takiej beczki marzenie.



A może...



Tylko darow-
anemu ko-
nowi nie
zagała się
w zęby.

Urzędu Wojewódzkiego w Łomży
uprzejmie zawiadamiam, że kwotę
42.500 złotych wpłacili na miesz-
kanie M-4 do spółdzielni mieszka-
niowej w Łomży.

W związku z tym zwracam się
ponownie do Obywatela Wojewody
w imieniu własnym i trojga mojego
młodszego rodzeństwa o udzielenie
nam pomocy w otrzymaniu mieszka-
nia.

Wojewoda przekazał podanie lu-
dziom, którzy z jego upoważnienia
załatwiają takie sprawy, ci ludzie kie-

watki otrzymane za pośrednictwem
wydziału, uprzejmie informu-
jemy, że nie może być ono pozytyw-
nie załatwione. Obywatelka zareje-
strowała książeczkę mieszkaniową
w naszej spółdzielni 31.08.79. Jest więc
kandydatem dopiero 2 miesiące.
Okres oczekiwania na mieszkanie
w łomżyńskiej spółdzielni mieszkani-
owej wynosi około 10 lat, tak więc
nie jesteśmy w stanie w tak krótkim
czasie przydzielić obywatelce
mieszkania.

Zadzwońmy do wiceprezesa Jana

Urzędniczka przyniosła dokumen-
ty.
— A, tak mało? — zdziwił się pre-
zes.

— Tak, niewiele tego. Ale sytu-
acja, w jakiej się dzieci znalazły
jest chyba jasna.

— Tak, widzi pani, już chciałem
zadekretować podanie, by przydzie-
lono im mieszkanie z mojej puli. Ale
bardzo rygorystycznie przestrzega
się zasady, że jeśli starający się o
mieszkanie posiadają własność to

Jaśkowskiego myśląc, że być może,
przeoczono wszystkie aspekty. Ze
to jakieś nieporozumienie. Usłysza-
łam, że — owszem — przydzielono
w tym roku 17 mieszkań dla kandy-
datów, ale Jadwiga Chaberek nie
kwalifikuje się, bo ma ziemię. Tele-
foniczne dyskusje wydawały się
niecelowe, bo na każdy z argumen-
tów za przydzieleniem tym dzieciom
mieszkania, słyszałam, takie są prze-
pisy.

Umówiłam się z zastępcą prezesa
na rozmowę, ale kiedy przyszedł
wyszedł akurat z biura i przekazał
sprawę prezesowi WSM — Janowi
Zawadzkiemu.

nawet własnościowego mieszkania
nie można im przydzielić.
Jaka własność? Ziemię? Ale prze-
cież rodzeństwo Chabereków prze-
kazało ziemię naczelnikowi gminy aby
on rozporządzał gospodarstwem tej
rodziny...

— Jakże jest wyjście? — pytam.
— Nawet własnościowego — cią-
gnął prezes. Jedyną możliwością to
kupienie w biurze handlu zagranicz-
nego „Locum”. Można im pójść na
rękę o tyle, że zakupi dokonają za
złotówki — bez dewiz. A koszt ta-
kiego mieszkania w Łomży 480
tys. zł.

ludzkie serce

Fragmety z pisma Władysława Czap-
lewicza do prokuratora.
„Co do kupowania bydła przez oby-
watela Chmielewskiego poza naszą wsią, udało
mi się częściowo zanotować numery kołców
u krów i oto one — 1392, 7540, 8810, 14838.
Kupowanym bydlęciem Chmielewscy wypełniają
oborę, a po pewnym czasie sprzedają je w
punkcie skupu w Sokółce. Proszę parę przy-
kładów. 31.XI. wyprowadzono z obory trzy
sztuki bydła, 14.XI. — dwie sztuki, 28.XI. —
cztery sztuki, 12.XII. — jedną sztukę. Uprze-
mie informuję więc, że obywatel Chmielew-
ski Kazimierz w dalszym ciągu prowadzi han-
delek”.

Panie, mówi Chmielewski, z nim jest na-
prawdę niemożliwie żyć.

Czaplewicz z matką zajmuje pokój z kuch-
nią. Chmielewski (żona i dwoje dzieci) ma
identyczny stan posiadania. Mieszkają w jed-
nym domu — idealnie na pół podzielonym
— na kolonii we wsi Krasniany. Przed do-
mem, na podwórku stoją jeszcze obora i sto-
dola. Stodołę użytkuje Czaplewicz, a obo-
rą zawiadł Chmielewski i o to idzie wła-
śnie spór. Dlatego Czaplewicz zarzuca
Chmielewskiemu, że handluje bydlęciem, z te-
go powodu wyrugował go z obory.

Soltys wsi Krasniany sugeruje okólnie,
że Chmielewski jednak handluje. Jest w
Krasnianach paru dobrych gospodarzy —
Beldowski, Stanisław Czaplewicz, Kalikst
Czaplewicz. Ile oni rocznie zdają do pań-
stwa? Na sto siedemdziesiąt, góra — sto
osiemdziesiąt tysięcy. A Chmielewski? Na
dwadzieścia tysięcy. Czy to jest możliwe,
żeby on, taki biedak mógł tyle produkować?
— pyta mnie soltys i to właśnie ja mam mu
dać odpowiedź.

Jest notatka służbowa funkcjonariusza ko-
misariatu MO w Sokółce:

„Przeprowadziłem rozmowę z mieszkań-
cami wsi Krasniany na okoliczność handlu byd-
łem. W wyniku przeprowadzonych rozmów
skarga złożona przez Władysława Czaple-
wicza nie potwierdziła się”.

Dwóch ludzi, dwie prawdy.
Dobrze się składa, że żadna z nich nie ma
dla dziennikarza większego znaczenia. Istota
sporu jest prosta: czyja powinna być obora?

Czaplewicz pracował w banku rolnym,
jest już na rencie. Ma pięć hektarów ziemi,
którą z lewosioł obrabia. Trzyma kilkanaście
owiec i konia. I na co mu to potrzebne? —
podpowiadają mieszkańcy Krasnian. W do-
datku ma dużą pasiekę, ponad czterdzieści
uli. Na pszczelarstwo, to trzeba Czaple-
wiczowi przynależało, zna się nieźle. Żeby być
pszczelarzem, nie trzeba mieć obory.

Co można powiedzieć o Chmielewskim?

Soltys uważa, że wcześniej zostanie mi-
nistrem, niż Chmielewski gospodarzem.

Chmielewscy mieszkali w Kurowszczyźnie.
Parę lat temu sprzedali ziemię w Kurow-
szczyźnie, bo pastwisko, jak mówią, nie mieli
i przenieśli się na ojcowskie Chmielewskiego,
w Krasnianach. Ziemię oddali za trzydzieści
sześć tysięcy, za budynki nie wzięli nic; nie
znalazli się kupiec. Budynki niszczeją. Na o-
jcowskie Chmielewski próbował wnieść sto-
dołę. Podciągnął budynek pod strop i zоста-
wił. Po jakimś czasie załamał się dach na



chalupie. Wtedy ojcowskie porzucił i kupił
w 1976 roku gospodarstwo od Kazimierza
Czaplewicza, brata Władysława. Daleko tu
jest od świata, ale najważniejsze, że wszy-
stka robota jest na miejscu, pociesza się. Po-
ła niedaleko, pastwisko pod domem.

W istocie nic na razie nie zdziałał. Ma dom
(dwie ciemne izby i sieni bez podłogi) i bu-
dynki gospodarcze (te, które kupił od Czaple-
wicza i te na ojcowskiej) w ruinie. Chwali
się natomiast ziemią, którą ma dużo. Ciągłe
ją zresztą dokupuje. W ubiegłym roku nabył
cztery hektary, w poprzednim trzy. W tym
roku wystąpił o hektar łaki z Państwowego
Funduszu Ziemi. Gmina odmówiła mu przy-
działu. Mówi, że będzie się odwoływał. Do
Urzędu Wojewódzkiego w Białymstoku. Ma
teraz dwadzieścia hektarów gruntów, a jak
się odwoła skutecznie będzie ich miał dw-
dzieścia jeden i każdy musi przynależa —
Chmielewski jest największym gospodarzem
w Krasnianach.

Mówi: Chciałbym ja jak najbardziej pod-
nieść gospodarkę...

Przedmiot sporu — obora.

Budynek ma osiem na dwadzieścia i w
opisie geodezyjnym określono go „stan śred-
ni”. W rzeczywistości niektóre deski zmurza-
ły, po oborze hula wiatr. Dach zaś obniżył
się niebezpiecznie. Taki budynek wart jest
parę tysięcy. Można kupić bez trudu solid-
niejszą oborę w którymś z opuszczonych gos-
podarstw w okolicy, przewieźć ją i w parę
dni, od nowa zmontować. Wolą się jednak
kłócić.

W czasie żniw Czaplewicz odczepił wiadro
w studni, bo jego. Chmielewscy musieli w go-
racy, żniwny czas brać wodę od sąsiadów
(kilkaset metrów).

Kto pierwszy uderzy?

Parę tygodni temu ktoś (!) powybił okna
w mieszkaniu Czaplewicza.

Czy sporu nie można rozstrzygnąć drogą
urzędową? Okazuje się: nie można. Chm-
ielewski nabył gospodarstwo Kazimierza Cza-
plewicza na zasadzie wzajemnej umowy, nie
poświadczanej przez biuro notarialne. Działaj
Kazimierz Czaplewicz już nie żyje i dla-
tego spór komplikuje się piętro. Najpierw
należałoby przeprowadzić sprawę spadkową.

Chmielewski nie ma na to jednak siły.

Zalóżmy jednak, że sprawa spadkowa, od-
będzie się. W drugim etapie, żeby wyjaśnić,
co na siedlisku jest kogo, należałoby prze-
prowadzić sądowe zniszczenie współwłasności.
Kto ma się o to starać? Chmielewski nie
podejmie się chyba tego wysiłku. A Cza-
plewicz? W przypadku podziału dostanie on
tylko połowę siedliska. Tymczasem wie, że
Chmielewski posiada swoją część podwórka
jakby nieformalnie. Chmielewskiego nie bę-
dzie, komu ona przypadnie? Czaplewicz ma
na razie prawo tylko do połowy siedliska, a
przecież, jak chyba myśli, może mieć całe.
Na razie czeka i nęka przeciwnika donosami.

Ostatnio na skutek jego skargi adwersarze
stanęli przed Spółeczną Komisją Pojedna-
wą w Sokółce. Czaplewicz pisał:

„Obywatelka Chmielewska przechodziła
obok mojego pastwiska, gdzie ja wypędziłem
dwadzieścia osiem sztuk owiec. Kiedy prze-
chodziła obok moich owiec, to powiedziała
do psa: Bory bierz ich. Wówczas pies rzu-
cił się na owce i jedną z owiec pogryzł do
tego stopnia, że musiałem ją dorzucić. Nad-
mieniam, że wyżej wymieniony pies wciąż
rzuca się na mojego konia, który jest uwią-
zany na pastwisku”.

Na posiedzeniu Spółecznej Komisji Pojed-
nawczej Czaplewicz i Chmielewski nie po-
jednali się.

Czaplewicz sponiewierał już za to ko-
lejną suplikę:

„Niniejszym podaję do wiadomości, że oby-
watel Chmielewski posiada dwa zle psy,
które nie są uwiązane, a szczerzenie ich po-
staje pod znakiem zapytania. Psy rzuca-
ją się na każdego, kto znajdzie się na na-
szym podwórku”.

Zawziętość Czaplewicza jest diabelska
iście. We wsi mówią, że to zemsta za bimber.
Dwa lata temu wpadła zienacka do miesz-
kania Czaplewicza milicja. Znalaziono kil-
kanaście litrów bimbru, aparaturę, kolegium
ukarało go grzywną w wysokości piętnastu
tysięcy złotych. Potem długo ale bezskutecz-
nie dochodził, kto go mógł „udać”.

Podczas kłótni z Chmielewskim wykrzy-
kuje:

— Oddaj mi piętnaście tysięcy.

Czaplewicz i Chmielewski mieszkają na
głębokiej kolonii, dwa kilometry za wsią.
Dom stoi na polance w niewielkim lasku.
Prowadzi do niego kręta, wąska i trudno
przejeżdżalna droga. Kto nie zna okolicy, nie
trafi tu łatwo. Co się dzieje na polance po-
stronni, nawet ci, którzy mieszkają najbliżej
nie wiedzą. Czasami tylko, najczęściej w no-
cy dochodzą do nich jakieś słabe krzyki. Na
razie w sporze używa się argumentów w
miarę łagodnych, ale sytuacja zaostrza się
i nie wiadomo, co z tego wszystkiego wy-
niknie.

I nikt nie dowie się, kto kogo pierwszy
uderzył...

ANDRZEJ RÓŻAŁSKI

Jarmark, jarmark...

Deszcz, czy słońce — to nie-
ważne. W każdą środę po pier-
wszym i piętnastym przy szo-
sie filipowskiej w Suwałkach
gromadzą się ogromne tłumy.
Jarmark ciągnie jak magnes
— rolników, którzy tu kupują
i sprzedają wszystko, co jest
związane z ich pracą, modne
dzwonki, które zaowocują
poszukiwaniu ekstr — ciucha,
mamy, które tu spodziewają

się kupić kalosze dla swoich
pociągów.

Bo na jarmarku można ku-
pić wszystko. Kozuch — tylko
20 tysięcy. Znakomita beczka
na kapustę tylko 1700 zło-
tych. Postronki za kilkadzie-
siąt złotych. Wymienić to
wszystko, co oferuje się na

jarmarku, nie sposób. Sprze-
dawcy, wystarczy spojrzeć na
rejestrację samochodów, zje-
żdżają z pol Polski. Kupujący
także. Więc ruch w interesie
jest ogromny. A nawet jeśli
nie się nie sprzedaje i nie nie
kupuje warto tu przyjść, żeby
popatrzyć. (sik)



Teraz najlepiej do domu.

Fot. R. Łysionek

Gdzie podzielił się Jaćwingowie? Czy ich krew krąży jeszcze w żyłach ja-
kiegokolwiek ludu? Dwieście lat temu badacz historii widział w nich pro-
toplastów Litwinów. Wyjaśnienia historii ludów bałtyjskich, żyjących w pierw-
szych wiekach naszej ery na terenie dzisiejszej Suwalszczyzny, podjęła się
kompleksowa ekspedycja jaćwiska w roku 1959. Powołana przez Państwo-
we Muzeum Archeologiczne, skupiała w jednym szeregu archeologów pod
przewodnictwem dr Jerzego Antoniewicza, antropologów oraz językoznaw-
ców z profesorem Olofem Falkiem z Lund w Szwecji na czele. Od początku
do prac ekspedycji bardzo aktywnie włączyło się Muzeum Okręgowe w Biał-
ymstoku.

KURHANY ZARASTAJĄ

Ekspedycja zlokalizowała i spenetrowa-
ła wiele jaćwieskich cmentarzy, któ-
re okazały się znacznie ciekawsze od
śladów osadnictwa z epoki krzemienia. Naj-
większe z cmentarzy, w Szwajcarii k. Su-
wałk, po zakończeniu prac wykopaliskowych,
przemieniono w rezerwat przyrodniczy-
archeologiczny.

Groby kurhanowe w uroczysku Białorogi
(potoczna nazwa tego miejsca) dzielą się
na dwa skupiska: północne — grupujące ok. 50
grobów i południowe — kilkunastostanowis-
kowe. Najwcześniejsze są pochówki szkiele-
towe, datowane na III—IV w. n.e. Nieco póź-
niejsze są groby ciałopalne z okresu IV—VII
w. n.e. W najbogatszych grobach, tzw. „ksią-
żęcych” znaleziono wiele ozdób z brązu i ze-
łaza oraz broni. Znalezione te, jak i chronolo-
gia pochówków wskazują na odkrycie cmen-
taryjska naczelników plemion żyjących nad
środkową i górną Hańcą. Dużą rewiacją o-
kazał się grób młodego rolnika z II—III w.
n.e., pochowanego z żelazną radlicą. Rząd-
ność narzędzi rolniczych w grobach ciał-
dobnie świadczy o ich cennosci i randze, ja-
ką miały wśród jaćwieskich rolników.

Równocześnie trwały intensywne prace
grupy językoznawców. Profesor Olof Falk za
badania nad językami ludów bałtyjskich o-
trzymał doroczną nagrodę „Gazety Współ-
czesnej”.

Szczyt badań przypadł na lata sześćdziesią-
te. Później dr Antoniewicza powołano na in-
ne stanowisko, wkrótce potem zmarł. Nie zdo-
łano uporządkować jego notatek, szkiców i
rysunków. Rysownicza ekspedycja podjęła
co prawda trud ich odtworzenia, ale ani czas,
ani pamięć nie pozwoliły jej pracy zakończyć.
Groby plaskie pozostawiono do późniejszej
eksploracji, kiedy to i wiedza nasza o Jać-
wingach będzie znacznie większa, i metody
badawcze bardziej precyzyjne.

Mimo wielkich odkryć i znaczących wyni-
ków naukowych ekspedycja jaćwieska była
li tylko początkiem prac badawczych nad
dziejami krainy Białorogi. Prace te nie są kon-
tynuowane. Reforma administracyjna odgra-
dza wojewódzką granicą Muzeum Okręgowe
w Białymstoku od terenów wykopaliskowych.
Powołano Muzeum Okręgowe w Suwałkach
zatrudniło młode małżeństwo archeologów,
państwo Lenarczyków. Niebawem Lenarczyk
został powołany na ćwiczenia wojskowe, a
jego żona do pamiętni obowiązków ma-
cierzyńskich. Sezon wykopaliskowy w 1979 r.
został prawie całkowicie stracony, poza ba-
daniami w Przebrodzie.

Muzeum Okręgowe w Białymstoku straciło
podstawę swej archeologicznej specjalizacji.
Białostoccy archeologowie ruszyli na połud-
nie województwa, by badać ślady po osadach
nieolowitów jaćwieskich. Ich wiedza i doś-
wiadczenie znalazły ujęcie na bocznym torze.
To jakby znakomitemu śpiewakowi kazać re-
cytować wiersze. Też pozytywne i potrzebne,
ale niepełnym głosem. Mimo to odbyły się
ważne konferencje i sympozja naukowe. W
1975 r. zorganizowano podsumowanie badań
nad Jaćwicią (materiały te są już w druku).
Wystawa pn. „Bałtowie — północni sąsiedzi
Słowian” zwiędziała Sofie, Warszawę, obecnie
jest prezentowana w Białymstoku. Wkrótce
w Białymstoku odbędzie się sympozjum poś-
więcone tematowi bałtyjskim.

TERESA POLECKA

Tak więc dorobek teoretyczny jest bardzo
duży, niemniej stanowiska archeologiczne na
Suwalszczyźnie pozostają nadal tajemnicą. A
czasami dla nich nadchodzi niełatwe. Ewentu-
alna budowa kopalni rud żelaza narzuca ko-
nieczność szybkiego zbadania archeologiczne-
go dużych powierzchni województwa suwa-
lskiego. Mimo ambicji i zapалу sami Lenar-
czykowie niewiele tu zwojują. Potrzebna bę-
dzie pomoc nie tylko Muzeum Okręgowemu
w Białymstoku, ale i archeologów z Warszawy
i Olsztyna. Nie idzie tu chyba o powołanie
jednej, wielkiej, wspólnej ekspedycji, ale
właściwe rozdzielenie stanowisk poszczególn-
ym ekipom. Czas też najwyższy na umożli-
wienie archeologom białostockim kontynu-
owania badań grobów protojaćwieskich. Nie
jest to też sprawa do załatwienia między sa-
mymi archeologami, muszą się tym zająć ich
zwierzchnicy. Wydaje się, że pożądaną, by w Su-
wałkach powstał ośrodek archeologiczny, a
współpraca z sąsiadami miała charakter co-
dzienny. I rzecz najważniejsza: białostoccy
archeologowie są głęboko zaangażowani w
sprawę Jaćwici, niechęć przeto zbadają ją
do końca, suwalskim archeologom pozostanie
niezwykle ciekawy, pionierski w badaniach
okres wczesnego średniowiecza. Roboty star-
czy dla wszystkich. Tymczasem trwa stan
chęci i planowania, prac wykopaliskowych
nie widać.

Los ekspedycji jaćwieskiej nie jest za-
kończony. Rezerwat przyrodniczo-archeolo-
giczny w Szwajcarii zarosł krzewami i trawą.
Czas podziurawić tablice informacyjne. Oko-
liczni chłopcy wypasają tu krowy, czasami
wyciągają kamienie z kurhanów. Rezerwat
ma dwóch gospodarzy — konserwatorów: za-
sadą „to kolega”. Żaden nie poczuwa się do
obowiązków zapiekania się nim. Jednak
racje pana Szkurcica, konserwatora przyro-
dy, wydają się być szlachetniejsze — takich
drzewostanów w województwie suwalskim
jest wiele i niczym szczególnym ten ze Szwaj-
carii się nie wyróżnia. W niedawnej audycji
radiowej „Nasze kurhany” konserwator za-
byłków, Stanisław Tumidajewicz, powiedział,
że to dobrze, iż kurhany zarastają, bo chroni
je przed zniszczeniem przez warunki atmo-
sferyczne i przez turystów, a poza tym (cy-
tuje), „Panie redaktorze, wszystko zarasta”.
Owszem, miałyby rację, gdyby chodziło o sta-
nowiska archeologiczne do tej pory nie zba-
dane, ale w Szwajcarii archeologowie, poza
grobami płaskimi, nie mają już nic do zro-
bienia. Dyrektor Muzeum w Białymstoku Jan
Jaskanis przekazał założenia zagospodarowa-
nia rezerwatu archeologicznego do Suwałk.
Za jego utworzeniem przemawia: duża wa-
ga odkrycia, bliskość miasta, łatwy dojazd
zsozą, duża penetracja Suwalszczyzny przez
turyistów, łatwość ekspozycji kurhanów. Są
plany postawienia pawilonu wystawienni-
czego, prezentowanego by w nim były znalezs-
ka z kurhanów, przekroje grobów, ukazujące
ich konstrukcję i sposób grzebania ciał. Pla-
ny są ciekawe.

Zbliża się zima, martwy sezon w pra-
cach wykopaliskowych, ale jest to czas
właściwy na ustalenie współpracy na
rok przyszły. Krystyna Lenarczyk obiecuje,
że jak mać wyjdzie z wojska, to poruszy wszy-
stko w niebie, ziemi i urzędach dla załatwie-
nia tych spraw.

JERZY MUSZYŃSKI

RELAKS

Rurociąg na dnie morza...

Od miasta Neftianyje Kamni aż do wyspy Żyły położono na dnie Morza Kaspijskiego gazociąg. Długość jego wynosiła zaledwie 33 metry, ale budowa obfitowała w wiele dramatycznych momentów. Podstawową trudność sprawiał budowniczym niezwykle silny podwodny prąd morski.

Woda przemieszczała kamienie, znosiła na bok rury, zrywała pontony, na których pracowali ludzie. Na wyspie Żyły rurociąg podłączono do gazowej magistrali, doprowadzonej tutaj ze stałego ładu. W roku przyszłym od Neftianych Kamni poprowadzony zostanie naftociąg. (BK — A.P.N.)



„Dziś jest dobra na każdą porę roku, a już szczególnie na jesień i zimę. Z tej produkcji — maszynowej i ręcznej — nasłynęły głównie spółdzielnie i spółdzielnie artystyczne podległe „Cepeli”. Przy okazji cepelowskiego jubileusza (50-lecie istnienia) zaprezentowano niedawno w stołecznym teatrze warszawskich spółdzielni m. in. „Dziś i jutro”. Nowej Pracy Niewidomych” i „Poznań”. Swoje piękne dziełki artystyczne oparte na sztuce ludowej przedstawiły także: „Opocznińska” i Spółdzielnia „Podlańska z Nowego Targu.”

CAF — Radkiewicz



Do szkoły im. Fryderyka Chopina w Marienskich Łaźniach uczęszcza obecnie 500 uczniów, którzy w zespołach muzycznych, aktorów, artystów plastycznych i tanecznych zdobywają uznanie na konkursach krajowych i zagranicznych.

NA ZDJĘCIU: próba małych akordeonistów. CAF — CTK

Z RÓŻNYCH STRON ŚWIATA

MŁODZI FRANCUZI I GEOGRAFIA

Jak wykazała sondaż, przeprowadzony niedawno przez szereg instytucji naukowych w środowisku młodzieży trzech krajów — Francji, W. Brytanii oraz RFN, największe zainteresowanie nauką języków obcych wykazali młodzi Francuzi w przeciwieństwie do rówieśników z W. Brytanii i RFN. Natomiast znacznie gorzej przedstawia się sprawa znajomości geografii, w której to dziedzinie Francuzi dali się zdystansować swym rówieśnikom z innych krajów. (M.M.)

MAŁŻEŃSTWA W MODZIE

Nie ma mowy o kryzysie tradycyjnego małżeństwa. W Niemczech Zachodnich Instytut Kehrmana przeprowadził wśród młodzieży w wieku od 15 do 25 lat ankietę. 93 procent respondentów opowiadało się za tradycyjną formą małżeństwa. 2/3 oświadczyło, że chcą mieć co najmniej dwoje dzieci. (M.M.)

5-LETNIA STARUSZKA

5-letnia Penny Valentin z San Diego (USA) została dotknięta niesłychanie rzadką chorobą. Dziecko starsze się w zaskakującym tempie. Każdego dnia o 15 do 20 lat. Obecnie ma ciało 80-letniej kobiety. Lekarze są bezradni, żadne zabiegi oraz lekarstwa nie potrafią wstrzymać galopującego procesu starzenia się. (M.M.)

LWY — ARGUMENTEM

Włoski treser dzikich zwierząt Mario Valcanelli urządził ministrowi turystyki piękne przedstawienie, gdy ten odmówił mu prawa pokazów trefury na terenie całych Włoch. Valcanelli zmienił przed gmachem ministerstwa ogromną klatkę i zamknął się w niej razem z 8 lwami, a na dodatek z panterami, niedźwiedziami i małpami.

Jest to pytanie, które powtarza się w listach czytelników. Przeważnie zadają je wtedy, gdy chcą sprzedać znaczki, kupione w ramach abonamentu w kołach PZF, sklepach filatelistycznych lub bezpośrednio na pocztę. Okazuje się, że z n. inowszymi znaczkami, polskimi i zagranicznymi, bywają kłopoty. Wy-



nika to głównie stąd, że poczta i handel mają znaczne zapasy znaczków — wydanych w dużych nakładach w ostatnich latach. Ale najpierw powinniśmy sobie dokładnie sprecyzować co rozumiemy pod pojęciem „nowości”. Niektórzy znawcy filatelistyki uważają, że w zakres „nowości filatelistycznych” wchodzi u nas znaczki pocztowe wydane po roku 1950. Jest to czarna bardzo dyskusyjna linia, za „nowości” uważają znaczki emitowane w okresie ostatnich 10 lub 20 lat.

Czy zbierać nowości?

Chyba w naszym przypadku za nowości należy uznać znaczki pochodzące z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych.

A więc zbierać najnowsze znaczki pocztowe? Wydaje się, że jest to pytanie raczej retoryczne. Zdecydowana większość filatelistów i niefilatelistów nabywa (abonuje) w pierwszej kolejności znaczki z ostatnich lat. I nie ma w tym nic złego. Są one stosunkowo tanie, nabyć je można prawie po cenach nominalnych. Ryzyko jest więc nieduże. A należy pamiętać, że wielu kolekcjonerów często zmienia swoje zainteresowanie, z filatelistyki na numizmatykę, z numizmatyki na bibliofilię itp.

Z czasem jednak filateliści poszerzają zakres swych zbiorów, zarówno pod względem tematycznym jak i chronologicznym. I jest w tym pewna prawidłowość, całkowicie potwierdzona przez życie. Nowości wciągają ludzi do prawdziwej filatelistyki, pozwalają im posmakować uroku i czaru, jaki stwarza obcowanie z kolorowymi, pocztowymi winietkami, do złudzenia przypominającymi takie wytwory małej grafiki jak ilustracje, exlibrisy, etykiety, plakaty.

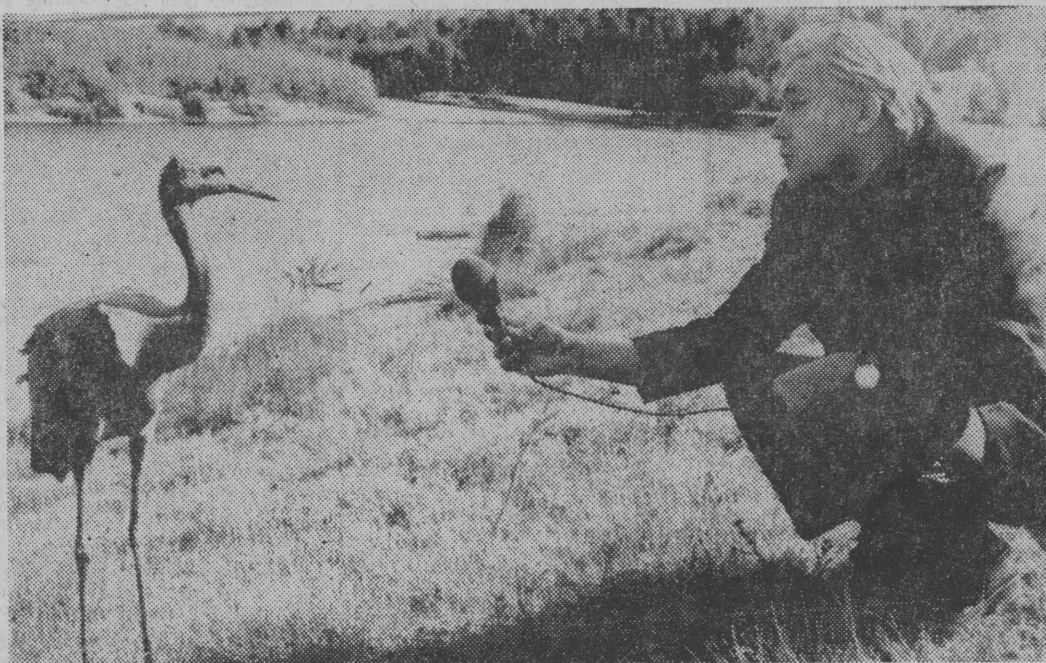
A więc na postawione pytanie w tytule należy odpowiedzieć wszystkim wstąpiącym: zbierać! Chciałbym jednak się zastrzec: myśleć ciągle o ludziach, którzy

zbierają znaczki pocztowe dlatego, że ich urzekł swym pięknem i treścią. Natomiast inaczej sprawa się przedstawia z tymi, którzy zbierają znaczki po to, aby z czasem coś na tym zyskać.

Tych zbieraczy znaczków może spotkać srogi zawód. Aby znaczki naprawdę zyskały na wartości, musi być spełnionych wiele czynników. W tym miejscu chciałbym zwrócić uwagę tylko na jeden: upływ czasu. Praktyka dowodzi, że znaczki nabierają wyższej ceny przynajmniej w 10-15 lat po ich emitowaniu. I to nie wszystkie. Zbieracz-inwestor musi więc wykonać wielką cierpliwość.

To samo zresztą odnosi się do listów z nalepionymi i ostemplowanymi znaczkami.

KOLEKCJONER



Nigdy nie za późno

Po 60 latach wspólnego życia małżeńskiego — Charles Mugnier i Gabrielle Lemaire z południowej Francji zdecydowali się wziąć ślub kościelny.

„Po ślubie cywilnym postanowiliśmy poczekać, sprawdzić, czy nasze małżeństwo będzie udane. Okazało się, że tak. Ale czas nie zwlekał szybko leci. 60 lat małżeństwa z bicia strzeliło dopiero teraz nadziedził czas” — powiedzieli staruszki. (M.M.)

Nowi Beatlesi

Z okazji 20 rocznicy założenia słynnej grupy „The Beatles” powstał film, który ma zobrazować oszalałą karierę czterech młodzieńców. Producent filmu zadł sobie trud, aby wyszukać sobowtórów George’a, Paula, Johna i Ringo. Na kinstulanta poproszono perkusistę Beatlesów — 37-letniego Petca Besta.

„Oglądałem sceny filmu z chłopcami, którzy są ludzko podobni do Beatlesów, jestem ogromnie wzruszony. Stają mi przed oczami wspaniałe przeżycia młodzieńcze” — powiedział Best. (M.M.)

Zuraw udziela „wywiadu” Władimirowi Pancerzowi kierownikowi zespołu pracowników naukowych, zajmujących się aklimatyzacją białego żurawia na terenie rezerwatów. Jaka tego piaka będącego już pod ochroną przyrodniczą z Jakucji. Celem naukowców jest zmiana tras migracyjnych żurawi i skierowanie ich w bezpieczniejsze regiony. CAF — TASS

W mieście była nieduża fabryka fiaków. Burmistrz w gruncie rzeczy niewiele obchodziła. Fiaków nie jadał, gdyż nie trawił. Jednak ów urzędnik przegrał wybory (ci z fabryki głosowali przeciwko niemu) i do miasta przyjechał nowy człowiek.

Nikt się nie spodziewał, że zacznie od fabryki. Powiedział: — Won partacz! Mało, że w ogóle robicie fiaki, ale jeszcze robicie je źle. Zdecydował: — Zmienimy produkcję, podniesiemy jakość!

Tuż za nowym burmistrzem ścignął prezesa, który już w swoim życiu robił

Ktoś ją zgubił czy podłożył — jak myślicie?

Potem zadzwonił z pretenjami radca — coś niespodziewanie go uszło. Tak samo podkoczyciło na stołkach kilku ważnych dyrektorów.

— Wy mnie tu nie wcielajcie, że to przypadek. Wy robicie to celowo! — zdenerwował się za kolejnym razem burmistrz. — Ale obiecuję wam, już ja te szpile przytępie.

Prezes: — Miesiąc na miesiąc otrzymujecie nowe dyrektywy. Zmieniano mu technologie, w rezultacie czego produkowane szpile traciły swoją ostrość, a w

grasowały myszy, a pałki plotły pajęczynę. W sferach poszły słuchy: wolny stołek!

Wokół gabinetu burmistrza zaczęło kręcić się stado żalotników. Z dnia na dzień konkurencja rosła, atmosfera walki rośnie.

Przyfajdł do niej ekonom, aptekarz, agronom, grabarz, lekarz, sekwestator i portier z magistratu. Każdy z nich burmistrzowi proponował: — Może znowu flaki pracować w starej fabryce? — Ten tylko skrzywił się z niesmakiem. — To może być pakule? — podziurzył inny. — Albo kit. — Albo fajans. — Marmolada była-

Fabryka

to i owo. Wspólnie wrzadzi, że miastu najbardziej potrzebne są szpile, gdyż temu przypiąć, temu przytacić... Fabryka szybko się rozwinęła, zaczęli kooperować z nią znani producenci z całego kraju. Prezes miał coraz to nowe pomysły: szpile do lechtania, drubania w zębach, skrobienia się za uchem i kłucia w pupę. Ta ostatnia ludzom bardzo się spodobała, gdyż każdy ma taką pupę, w którą z dziką satysfakcją ową szpilę by wdał.

„Tylko nasza ostra szpila utnie w tylek krokodyla” — mawiał prezes.

Po kilku latach zaczęło się jednak coś psuć w interesie. Najpierw zadzwonił burmistrz: — Co wy tam — powiada — wyprawiacie, oby nie przesada? Siadano na fotel, biorąc gazetę, a tu jak mnie nie ukłuje!

końcu zaokrągliły się zupełnie.

— Składam wypowiedzenie — postanowił prezes.

— To i my mamy wszystko w nosie — odskrzyknęli kooperanci.

Fabryka stanęła pusta. Burmistrz po cichu zawołał księgowego. — Mianuję was prezesem — orzekł.

Po cichutku podnieśliśmy umowę, a o produkcji pomysłami później. Zgoda? — Mogłbym, a jakie — zgodził się księgowy — ale zajmie się gwoździarnia...

Następny kandydat chciał produkować pinetki.

— E, ty, szutnik — przygasł go burmistrz — niby niewinne pluskieweczki, a potem co, hyc pod mój tyłek...

Mijały tygodnie, potem miesiące. Na drzwiach gabinetu prezesa wisiała tabliczka „vacat”, w środku

by nieźla...

Ludzie w mieście gadali: — Prezesem zostanie na pewno aptekarz. — Eee, nie, prawda, większe szanse ma agronom. — Skądże znowu, brakujemy nam kitu, to wiadomo kto się do tego nadaje.

A burmistrz siedział zadumany. Trochę w swoich rzadach się zgmatwał. Prezes jakiś był, taki był, ale znał swoją robotę. A to, że szpila czasami ukłuje — przecież kiedyś ukłuje — chciał. Głupio przeprosił, a i strach trochę. Wiedomo, co jeszcze wymyśli? A kupno baranów kręcących się wokół magistratu...

Do gabinetu burmistrza zapukał młody człowiek. — Szuski! Jestem z papierami. Świeżo nam się na produkcji urodziły.

K. SIEMIENIAKO

Z TEKI SZPERACZA

Obecne Liceum Ogólnokształcące w Łomży stanowi bezpośrednią kontynuację gimnazjum realnego, którego budowę rozpoczęto w roku 1898. Domosił o tym „Tygodnik Ilustrowany” w numerze 15 z roku 1899 na str. 296. Jak przystało na czasopiśmie ilustrowane obok krótkiej notatki pismo zamieszcza aktualne zdjęcie uprawdzone nie budowy nowego gmachu, ale za to chyba jeszcze cenniejsze dla historyka zajmującego się przeszłością Łomży. Jest to mianowicie rozbierany wówczas budynek kolegium jezuickiego oraz kościoła niedys Jezuistów, w II połowie XIX wieku należącego do gminy luteranckiej.

Ginące krajobrazy

to wzniezione w roku 1752 przez Marię z Leszczyńskich Szembekową, wdowę po kanclerzu wielkim koronnym i staroście łomżyńskim, Janie Szembeku, fundatorze kościoła jezuickiego. Kolegium mieściło się w tym budynku przez mniej więcej 70 lat, gdyż w roku 1820 po kasacji zakonu Jezuistów w Królestwie Polskim budynek przeszedł na własność Pijarów. Ci nie zdążyli tu niemal zagrzebać miejsca. W 1827 roku Pijarzy odešli, a szkoła przybrała charakter świecki.

Jako ciekawostkę warto przypomnieć, iż w roku 1820 Łomża liczyła 2673 mieszkańców, zaś w momencie likwidacji kolegium pijarskiego — około 3300. Przemysł reprezentował folusz zbudowany w roku 1826, zatrudniający 19 robotników; 18 sukienników i jednego postrzygacza; przybyłych z Wielkopolski. Zresztą w czasie powstania

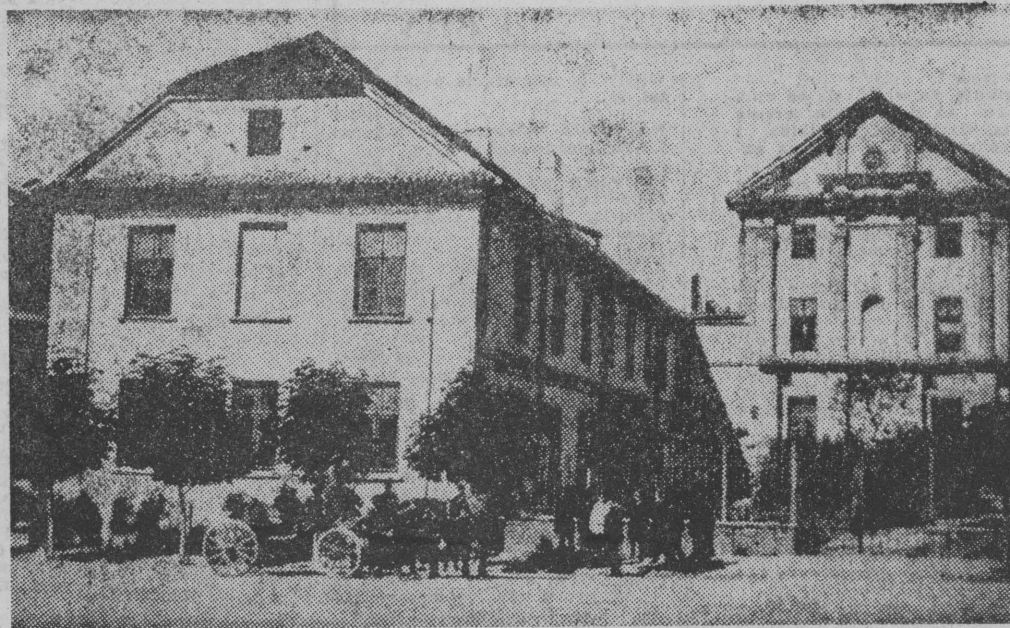
listopadowego i ten przemysł przestał istnieć. Jak z powyższego wynika szkoła służyła nie tyle mieszkańcom samej Łomży, co okolicznej szlachcie, zaś od 1866 roku tj. od momentu powołania gubernii łomżyńskiej, była tu uczelnia o zasięgu gubernialnym. W roku 1863 zginęło 50 uczniów łomżyńskiego gimnazjum, którzy próbowali przedostać się do oddziałów powstańczych.

W roku 1898, gdy wykonano fotografię załączoną do niniejszego tekstu, Łomża miała już około 20 tys. mieszkańców. Była przede wszystkim ośrodkiem administracyjnym, ale istniały także zaczątki przemysłu: rafineria cukru, 2 browary, 2 garbarnie, pewna ilość małych tartaków.

Plac należący do Jezuistów a następnie do Pijarów był niegdyś o wiele większy, niż ten jaki obecnie stanowi własność szkół. Na jego części zgodzie z lokalną tradycją znajdowały się piękne ogrody. Zlikwidowali je po III rozbiórze Polski Prusacy, przecinając na pół ulicę Mostową, spadającą pochyło ku Narwi.

Na marginesie warto zwrócić uwagę, że Łomża przetrzymując nie notowany dotychczas rozwój stała się miejscem, ale zarazem traciła stare budynki. Warto naśladować przodków utrzymywać te znikające widoki na kliszach. Nowe — ciesz się, stare — wzrusza. Zwłaszcza po latach.

RYSZARD KRAŚKO
Reprod. R. Ziębkowski



Czas sjęsty.

CAF — Irlingh

KRZYŻÓWKA

POZIOMO: 4) dawna broń drzewcowa, 9) kościół, 11) jedna z prac rolniczych, 12) brat bulionu, 13) nieprzyjemny zapach, 14) „stoi jadalny” dla zwierzęcy, 15) tucznik, 17) broń, 18) worek na pieniądze, 20) lasso, 24) imitacja towaru na wystawie sklepowej, 26) choroba lub otreby, 27) rów, 29) podła dusza, 30) ustalona jednostka, według której oblicza się wysokość zarobków, oplat itp., 33) znany miotacz polski, 36) wołanie na psa tresowanego, 37) 96 kwadransów, 38) popularny piosenkarz kanadyjski, 41) zamek z pałacem, 43) skrzydlaty symbol mądrości, 44) taniec z wygibasami, 45) dobrze Ci nie życzę, 46) grupa jeźdźców albo powozów, 47) niewielki port.

PIOWO: 1) figura geometryczna, 2) pełno w niej zółdź, 3) np. Wolin, 4) nie miasto, 5) członek sądu, 6) pierwiastek chemiczny z podgrupy

tytanowców, 7) wynik, skutek, konsekwencja, 8) imię Puga-czowej, 10) jezioro we wsch. Afryce, 16) znany bokser węgierski (obecnie trener), 18) tatuszcz zwierzęcy, 19) dotknięty miopią, 21) roślinny symbol zdrowia, 22) przyjaciel Portosa i Aramis, 23) wolne stanowisko, 25) statek bohaterów wyprawy po złote runo cudownego barana, 28) np. makolągwa, 31) zwiewna chustka, 32) brzeg, kant, 33) na dłoni nie wyróżnia, 34) pracowity owad, 35) miejscowość będąca niegdyś głównym ośrodkiem braci polskich, 39) rewolwer bębnowy, 40) najwolniejszy chód konia, 42) łobuz, nicpoń.

HELLES

Wśród czytelników, którzy w terminie 6-dniowym nadesłali pra-

widlowe rozwiązania, rozlosujemy pięć nagród książkowych. Na kuponach prosimy zaznaczyć: „Krzyżówka z nr 259”.

ROZWIĄZANIE

KRZYŻÓWKI Z NR 254

POZIOMO: działo, rak, blok, Supraśl, taraban, grób, udo, odór, wizjer, anaton, lękotka, joga, tach, kronikarz, takt, atom, licznik, Kosmos, talent, pisk, dno, runo, koszar, smok, skat, Tanna, arkadia, PIONOWO: zaprzęg, diabeł, igła, sito, obrona, sobótka, rugi, król, lada, karo, Drohiczyn, wyłatek, rekopis, aksamit, Mahomet, akt, iza, kępsko, trening, lokata, karota, opus, msza, luka, no-na, dysk, osad.

NAGRODY

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki zamieszczonej w „Gazecie” nr 248 z 3 listopada 1979 r., nagrody książkowe wylosowali: Bożena Ulanowicz z Czarnej Białostockiej, Wiesław Sojko z Woźnic, Roman Kucharski z Głubowa, Zdzisław Karaka z Białogostoku i Tadeusz Pruszyński z Rusi Nowej.

Nagrody przesyłamy pocztą.

